

WYDANIE ŚWIĄTECZNE



**Prof. Grzegorz
W. Kołodko**
Kosztowna wojna
coraz droższa

Wiesław Uchański
Żywot wydawcy
niepospolitego

**Prof. Marcin
Piątkowski**
Jeszcze Europa
nie zginęła

Julia Wyszynska
Trema przed sceną

**Cały kosmos
Miroslawa
Hermaszewskiego**

Elżbieta Lange
Pułapki
świątecznego talerza

**Święta w rodzinach
wielodzietnych**

**Karp
z wora do klasztoru**



TAJEMNICE STARYCH KIEJKUT

POLSKA **SZKOŁA** **SZPIEGÓW**

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



9 771509 311201

Czytajcie książki ISKIER



PUSZCZA. OPOWIEŚCI KAMPINOSKIE

Lechosław Herz



POWIDOKI CODZIENNOŚCI

Roch Sulima



PALCIE RYŻ KAŻDEGO DNIA

Marek Hłasko



TO JEST ZJAWISKO, I NA TO NIE MA RADY

Antoni Kroh



DOM POD WIECZNYM PIÓREM

Jan Polewka



ANTONI PATEK. ZEGARMISTRZ KRÓLÓW. ŚLADAMI ŻYCIA

Beniamin Czapla



Może być lepiej

Mimo że święta są w tym roku wyjątkowo krótkie, tradycja rodzinnych spotkań znowu wygra. A jak już się spotkamy, to stół nie będzie pusty. Tematów do rozmów też nie braknie. Choć tu jest pole minowe, na którym może wylecieć świąteczne spotkanie.

Ubyło nam pieniędzy w portfelach. A przybyło podziałów i kłótni między Polakami. Wiadomo, kto nas w to coraz głębiej wpycha. Skutek też jest znany. Wszystkim zaczyna brakować nadziei, że ten stan wrogości jakoś zostanie przełamany. Dla psychiki każdego człowieka jest on równie dotkliwy jak brak tlenu.

Prawie każdemu żyje się trudniej. I w pracy, i na zakupach. Tym bardziej warto docenić to, że mimo wszystko jakoś sobie radzimy. Ale mogłoby być przecież znacznie lepiej. Mądrzej i sprawiedliwiej. Jakiż to byłby bogaty kraj, gdyby nie coraz głębsze rządy. Z pomysłami, które marnują naturalny potencjał i zdolności ludzi. Napuszczanie jednych na drugich, przekreślanie tego, co zrobili poprzednicy, i niekończący się potok kłamstw dewastują psychikę. Tak jakby mało było tej

koszmarnej wojny, kryzysu energetycznego i ciągle wiszącej nad nami pandemii. Zbyt często mówimy, że lepiej już było. Może więc pora, by powalczyć o normalność. Polacy tak już mają, że nic im nie jest darowane. Sami muszą pogonić tych nieudaczników, którzy potrafią tylko doić ojczyznę, niczego sensownego jej nie dając.

A w najbliższym tygodniu warto pomyśleć, co sami możemy zrobić. Bądźmy bardziej uważni na ludzi samotnych. Jeśli nie bezpośredni kontakt, to chociaż rozmowa telefoniczna. Myślę, że wielu na taki sygnał czeka. Tak niewiele trzeba, by ktoś był mniej samotny. Dziękując Czytelnikom za to, że jesteście z nami, kłaniam się świątecznie.



*Świątecznego spokoju
w życzliwym otoczeniu
życzy Czytelnikom
i Przyjaciółom
zespół
PRZEGLĄDU*

BAKOWSKI



CZYTAJ I WSPIERAJ



DRODZY CZYTELNICY!

Dzięki Wam

wydajemy „Przegląd” i kolejne książki.
Wokół redakcji skupili się ludzie,
których łączy podobne myślenie.

Jesteśmy naprawdę niezależni od polityków
i reklamodawców. I dlatego biedni.

Dzięki Waszemu wsparciu

jesteśmy obecni
na Facebooku, YouTube i Instagramie.

Jeśli chcesz i możesz pomóc,
prosimy o darowizny na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta

Każda złotówka ma znaczenie!

W NUMERZE

KRAJ

- 8 Polska szkoła szpiegów**
Stare Kiejkuty i ich tajemnice
- 20 Coś mistycznego...**
O gen. Mirosławie Hermaszewskim
- 22 Bogaci w dzieci**
Święta w dużych rodzinach
- 25 Listonosz – zawód z misją**
Zwierzenia pocztowców
- 45 Łowy na Zibiego**
CBA wokół PZPN

GLOBALNY PUNKT WIDZENIA

- 14 Jeszcze Europa nie zginęła**
– rozmowa z prof. Marcinem Piątkowskim

KULTURA

- 28 Żywot wydawcy niepospolitego**
– rozmowa z Wiesławem Uchańskim
- 34 Muszę już iść gdzie indziej**
– rozmowa z Julią Wyszyńską
- 38 Kulturalia**
- 66 Up coming**
Dyplomy warszawskiej ASP

OPINIE

- 40 Grzegorz W. Kołodko**
Bardzo kosztowna wojna
staje się coraz droższa

PRZEGLĄD ZWIĄZKOWY

- 44 Dialog społeczny to klucz
do demokratyzacji państwa**

ZAGRANICA

- 48 Ryk niemego lwa**
Mundialowa przygoda Maroka
- 51 Pokój totalny w Kolumbii**
Koniec narkotykowej wojny?

ZWIERZĘTA

- 54 Karpik**
Tradycja na wigilijnym stole

ZDROWIE

- 57 Święta (nie) kręcą się wokół talerza**
– rozmowa z Elżbietą Lange

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Może być lepiej
- 19 Jan Widacki**
Generał Hermaszewski
- 33 Andrzej Romanowski**
Książka na Gwiazdkę
- 39 Tomasz Jastrun**
Serce na dłoni
- 43 Wojciech Kuczok**
Magia samotnych świąt



34

KULTURA

MUSZĘ JUŻ IŚĆ GDZIE INDZIEJ

– rozmowa
z Julią Wyszyńską



48

ZAGRANICA

RYK NIEMEGO LWA

Mundialowa przygoda Maroka



57

ZDROWIE

ŚWIĘTA (NIE) KRĘCĄ SIĘ WOKÓŁ TALERZA

– rozmowa
z Elżbietą Lange

Projekt okładki: Daria Słowińska-Kettner

FOT. SHUTTERSTOCK



f Polacy biednieją

Niewątpliwie błędy rządu przyczyniły się do wzrostu inflacji, ale to też efekt wieloletnich zaniedbań, jeśli chodzi o inwestycje w infrastrukturę energetyczną. Po 1989 r. państwo zaprzestało jakichkolwiek publicznych inwestycji. Połowa Polaków mieszka w budynkach z lat 70., to samo z energetyką. Ile powstało elektrowni jądrowych? Żadna i żadna nie powstanie. Mamy na pstryk odejść od węgla i co dalej? Ponoć rozdawnictwo jest przyczyną numer dwa inflacji. OK, to warto w tym kontekście przyrzeć się, ile pieniędzy otrzymały

firmy. Na ich rachunkach zalegają ogromne środki z tarcz covidowych. A pracownikom dla odmiany obcięto pensje. Co słyszymy jednak w mediach? Że inflacja rośnie przez emerytów i 500+. Opozycja? A co ona ma do zaproponowania Polkom i Polakom? Kolejną terapię szokową? *Paweł Stawicki*

W pełni się zgadzam z tym, że w ramach tarcz covidowych przedsiębiorcy pobrali stanowczo zbyt dużo. Dlatego teraz trzeba odważnie podnosić płacę minimalną. Biznes ma rezerwy, którymi musi się podzielić z pracownikami. Co więcej, te rezerwy przedsiębiorstw pochodzą z budżetu państwa.

Maciej Burzyński

f Problem z paczką? Uważaj na oszusta

To zmoza i zaraza – setki aplikacji, reklam, nakłanianie do kupna wszystkiego, podejrzane konkursy i ankiety. A wszędzie trzeba otworzyć link. Tylko naiwni dają się na to nabrać. Banki ostrzegają, rzetelne firmy przesyłkowe również. Dlaczego tyle osób daje się oszukiwać? Przecież takie procedury trwają już od lat. Wysokie technologie z jednej strony ułatwiają załatwianie spraw, ale z drugiej dają mnóstwo narzędzi złodziejom. Sądzę, że w dużej mierze sami jesteśmy sobie winni – przez nasze uzależnienie od technologii informatycznych pozwalamy się kontrolować i sobą manipulować. Ja stosuję zasadę ograniczonego zaufania, jak w ruchu drogowym.

Ewa Wesółowska

f KATAR PRZEMINĄŁ, BÓLE GŁOWY POZOSTAŁY

Słowa prawdy Krychowiaka i wewnętrzny bunt Niemcy Lewego poobiły nas mocno, ale na tej plaży byliśmy po 36 latach. Aż trudno uwierzyć, że można grać bez gry i zebrać laury za taktyczne łagi. Najlepiej wrócić do poprzednich meczów – będzie mniej boleć.

Ryszard Jędrzejewski

W sumie Polska przegrała tylko z mistrzem i wicemistrzem świata – to nieco powinno zmienić ocenę naszych dokonań w Katarze ;)

Włodzimierz Zielicz



ZDJĘCIE TYGODNIA



Lionel Messi, kapitan reprezentacji Argentyny, uhonorowany 18-metrową koszulką przy pomniku Flagi Narodowej w rodzinnym Rosario. 16 grudnia 2022 r.

Zmarł **Mariusz Walter**, legendarny człowiek mediów. W latach 70. w telewizji tworzył „Studio 2” i „Turniej Miast”. W latach 90. współtworzył TVN i pierwszą w Polsce telewizję informacyjną TVN 24. Był wizjonerem, który wierzył w misję mediów i wysokie standardy dziennikarstwa.

Prof. Marcin Wiącek, rzecznik praw obywatelskich, zwolnił swoją zastępczynię, **dr Hannę Machińską**.

Przeciwko decyzji protestują organizacje pozarządowe, parlamentarzyści, Helsińska Fundacja Praw Człowieka i Grupa Granica. Z biura RPO odeszło wielu ekspertów. Lista strat jest tak długa, że trudno dojrzeć jakiś sensowny powód. Chyba że chodzi o naciski polityczne?

Andrzej Skworz, redaktor naczelny „Press”, po raz 26. zorganizował konkurs Grand Press. **Dziennikarzem Roku 2022 został Szymon Jadczyk**, dziennikarz śledczy Wirtualnej Polski.

Komu opłaca się wojna na Ukrainie? Rekordowe w historii zyski netto ma w trzecim kwartale Exxon Mobil – 19,7 mld dol., podobnie BP, Chevron i Shell; państwowe saudyjskie Aramco zaś 42,4 mld dol.

Tylko 38% Polaków sądzi, że sposób mówienia i pisania jest podstawowym czynnikiem odzwierciedlającym inteligencję i kulturę człowieka (CBOS).

22-letnia Patrycja z Mazowsza trzy lata po przeszczepie płuc urodziła zdrowe dziecko. Przeszczep został wykonany w Śląskim Centrum Chorób Serca w Zabrzu, a poród odbył się w placówce Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego.

Ponad 4 tys. osób wpłaciło w 2019 r. na fundusz

wyborczy PiS 19 mln zł. Na konto funduszu wyborczego PO wpłynęło 18 mln zł, na konto PSL 8,6 mln zł, a Lewicy – 7,2 mln zł.

Jaka jest różnica w dochodach mieszkańców najbiedniejszej i najbogatszej gminy w Polsce? 523,72 zł na mieszkańca w gminie Potok Górny na Lubelszczyźnie i 29 704 zł w Kleszczowie w Łódzkiem.

Eryk Kulm Jr otrzymał Nagrodę im. Zbyszka Cybulskiego dla młodych aktorów wyróżniających się wybitną indywidualnością. Doceniono jego rolę w filmie „Filip” **Michała Kwiecińskiego**.

Polacy mają już **43,9 mln kart płatniczych**.

Gwiazda betlejemska (poinsecja) i grudnik, żeby zakwitnąć, muszą być przechowywane w całkowitej ciemności przez kilkanaście godzin w ciągu doby.

Rosnie moda na używane produkty. **63% Polaków kupiło choć raz używane ubrania**.

Pozabankowa branża pożyczkowa ma ok. 3 mln klientów rocznie. I obroty w wysokości ok. 8 mld zł.

Zużycie ropy na świecie w 2021 r. sięgnęło 4,2 mld ton i było wyższe o 5,9% w stosunku do roku poprzedniego. W Polsce wzrosło o 7,8%.

Najszybciej wyludnia się Podlasie. W 2021 r. największej mieszkańców ubył w gminie Dubicze Cerkiewne. W latach 2004-2020 liczba mieszkańców zmniejszyła się o 27%, a liczba emerytów zbliżyła się do 40%. Podobnie jest w sąsiednich gminach: Czyże, Milejczyce, Orla i Narew.

PRZEBŁYSKI

Siedlecka w „rzyci”

Ciekawe, jakie to demony prowadziły Joannę Siedlecką („Do Rzeczy”), gdy zajęła się Władysławem Machejkiem. W latach 1952-1990 redaktorem naczelnym „Życia Literackiego”.



Z typową dla siebie logiką Siedlecka najpierw napisała, że ten tygodnik był „Literacką rzycią”. A parę wierszy dalej, że pod koniec lat 70. opublikowała na jego łamach swój reportaż „Więzienne dzieci”, którego nie puściła cenzura w „Kulturze”. Była

więc Siedlecka w samym środku „rzyci”. Nie tylko ona, bo przypomniała też całą plejadę sław, które tam publikowały. Z Szymborską, Kijowskim i Błońskim na czele.

W gaworzeniu Siedleckiej zafrapowało nas co innego. Nawet nie to, że prostacko przekreślała nazwisko Machejka, ale powód, dla którego aż trzy razy nazwała go Machujkiem.

Przepraszili po trzech latach

„Ringier Axel Springer Polska sp. z o.o. przeprasza Panią Jolantę Pieńkowską za to, że naruszyła jej dobra osobiste w ten sposób, że opublikowała w dniu 8 marca 2019 r. w Gazecie Codziennej »Fakt« w artykule pt. »Brawurowa akcja Jolanty Pieńkowskiej. Tak ratowała męża bankiera« nieprawdziwe, przedstawione nadmiernie groteskowo, informacje, jakoby Pani Jolanta Pieńkowska w listopadzie 2018 r. wywiozła swojego męża Pana Leszka Czarneckiego w bagażniku samochodowym w celu umożliwienia mu ucieczki za granicę przed służbami specjalnymi oraz jakoby była ona przesłuchiwana przez agentów tych służb na lotnisku. Powyższe oświadczenie publikowane jest w wyniku przegranego procesu sądowego.”

Kto sieje zamęt?

Ale się porobiło. Kto by pomyślał, że gdy w organie o. Rydzka, „Naszym Dzienniku”, pojawił się tytuł „Napastliwa publikacja”, to sprawa nie dotyczy opozycji. O „sianie zamętu” oskarżony został inny organ kościelny. A konkretnie Tomasz Krzyżak i „Gość Niedzielny”. Czym sobie na ten atak zastruszyli? Ano publikacją, która zdaniem środowiska Radia Maryja „ma napastliwy charakter wobec św. Jana Pawła II”. Obie strony przerzucają się już nie tylko argumentami. Z prasowych armat lecą coraz cięższe epitety. Nie ma pokoju na święta.



WESOLEYCH ŚWIĄT!



mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE
TYGODNIA

Co eliminuje z polskiej polityki?

PROF. KRYSZYNA SKARŻYŃSKA,
psycholożka społeczna, Uniwersytet SWPS

Eliminuje z polityki całkowita utrata zaufania, związana ze świadomością, że konkretny polityk lub jego partia ani nie wykazują skuteczności w realizacji społecznie akceptowanych celów, ani nie są uczciwi, otwarci na współpracę i potrzeby inne niż własne, a przeciwnie: kradną, oszukują, wykorzystują pozycję i/lub majątek państwa do własnego bogacenia się, dopuszczają się różnych form przemocy. Cenę rządów niekompetentnych i egoistycznych polityków płaci całe społeczeństwo. W Polsce są dwie poważne bariery blokujące rozliczenie wyborcze. Pierwsza to brak powszechnej dostępności rzetelnych informacji o polityce i dezinformacja, druga – tzw. oślepiająca ufność wobec „swoich”, charakteryzująca osoby, które czują się ofiarami innej ekipy władzy. Ci ludzie trwają przy danym ugrupowaniu, nawet gdy uświadamiają sobie jego machlojki, nieudolność, łamanie prawa. Usprawiedliwiają je. Zbuntują się, gdy wyraźnie pogorszy się ich osobista sytuacja życiowa. Wyjdą na ulice, ale czy i jak będą głosować – nie wiadomo.

AGNIESZKA WIŚNIEWSKA,
socjolożka, redaktorka naczelna strony KrytykaPolityczna.pl

Chciałabym powiedzieć, że z polityki – polskiej, niepolskiej, ziemskiej czy kosmicznej – eliminuje bycie przemocowcem, kłamcą, manipulatorką, osobą nieetyczną, ale też

totalnie nieskuteczną, czyli niepotrafiącą żadnego zadania dociągnąć do końca. Niestety, tak nie jest. Z polskiej polityki eliminuje konflikt z szefem. Podpadniesz przewodniczącemu partii, regionu czy innej partyjnej struktury i już po tobie. W przypadku konfliktu z lokalnym przełożonym może polskiego polityka czy polityczkę uratować tylko szef. To on decyduje, co jest dobre dla partii (oficjalnie mówi, że chodzi o dobro Polski, ale to pic). Bo szef jest ponad wszystkim.

RAFAŁ GÓRSKI,
Instytut Spraw Obywatelskich

Eliminuje wyprzedzanie trendów, wielowymiarowość działania i szukanie prawdy. Gdy w latach 90. ostrzegaliśmy przed smogiem, likwidacją kolei i globalizacją, ludzie mówili, że jesteśmy oszołomami. Musiało minąć 20 lat, żeby zanieczyszczenie powietrza, wykluczenie transportowe i lokalność weszły do debaty politycznej. Dziś jesteśmy poza polityką, gdy ostrzegamy przed zabawami w Pana Boga przy użyciu nowych technologii manipulacji genetycznych, elektrosmogiem ze smartfonów i likwidacją gotówki. Nie kocha nas ani lewica, ani prawica. Żeby być w polityce, trzeba zapomnieć o słowach Orwella: „Jeśli wolność w ogóle coś znaczy, to tylko jako prawo do mówienia ludziom rzeczy, których nie chcą słyszeć”.

Not. Michał Sobczyk

Jeszcze Europa nie zginęła

Prof. Marcin Piątkowski: Przepowiednie gospodarczej i energetycznej katastrofy naszego kontynentu są mocno przesadzone

Rozmawia Jakub Dymek

Magazyn „The Economist” straszy zamarznięciem Europy. Zarówno dosłownie, z powodu niedostatku energii, jak i metaforycznie. Grozi nam – ostrzegają redaktorzy pisma – że rozwój i produktywność w Europie zatrzymają się. Politico dodaje od siebie, że na horyzoncie wisi amerykańsko-europejska wojna handlowa i wyniszczenie przemysłu na kontynencie. Pan na tym tle wydaje się niezwykle optymistą, publicznie polemizując z chyba każdą z tych tez.

– Nie jestem członkiem kassandrycznego chóru, który żyje z wieszczona kryzysów i katastrof. Nie brakuje ludzi, którzy wielokrotnie przepowiadali wielkie nieszczęście, ale jak koniec świata nie przychodzi, to nikt im błędnych prognoz nie wypomina. A jeśli czasami jakaś prognoza przypadkowo się spełni, od razu można stać się guru. Dlatego w interesie ekspertów leży mówienie o katastrofach, a nie bycie realistą. Warto o tym pamiętać.

Dajemy radę?

– Co do sedna, Europa była i pozostaje najbardziej dostatnym, humanitarnym i szczęśliwym kontynentem na świecie. Świadczą o tym wszystkie międzynarodowe rankingi jakości życia, ale też widzę to osobiście jako ktoś, kto mieszkał w Europie, USA i Chinach. Nie jest więc tak, że Europa umiera. Przeciwnie, świat byłby lepszym miejscem, gdyby pozostałym krajom udało się skopiować lub wdrożyć to, co tak nam się w Unii Europejskiej



Dr hab. Marcin Piątkowski – profesor Akademii Leona Koźmińskiego, ekonomista pracujący w Waszyngtonie, wcześniej wizytujący ekonomista m.in. na Uniwersytecie Harvarda i w London Business School. Autor książki „Europejski lider wzrostu. Polska droga od ekonomicznych peryferii do gospodarki sukcesu”.

udało. Jako Europejczycy mamy jedno z najwyższych na świecie dochodów w stosunku do liczby godzin pracy (Amerykanie mają wyższe dochody, ale spędzają w pracy o wiele więcej czasu i mają tylko dwutygodniowe urlopy), wysoką wydajność pracy, hojne systemy zabezpieczeń społecznych, względnie łatwy awans społeczny dla młodych ludzi, piękne otoczenie i, co najważniejsze,

– Ależ to nasza, Europejczyków, wina. Kupujemy w popłochu gaz, gdzie tylko się da – również od Amerykanów – bo wcześniej nasi sąsiedzi, przede wszystkim Niemcy, uzależnili się od rosyjskiego paliwa. To nie wina Amerykanów, że eksportują gaz, ale Niemiec – a w mniejszym stopniu innych państw, Francji czy Polski – że na podobny kryzys się nie przygotowaliśmy.

Europa była i pozostaje najbardziej dostatnim, humanitarnym i szczęśliwym kontynentem na świecie.

najwyższą na świecie jakość życia. Chciałbym, żeby za kilka pokoleń świat wyglądał nie tak jak współczesne Chiny czy USA, ale właśnie jak Europa.

Europa a USA

Wysoko postawieni komisarze europejscy oraz ministrowie handlu i gospodarki największych państw członkowskich przekonują, że wskutek wojny na kontynencie europejskim my tracimy, a USA zyskują. Sprzedają nam drogo gaz, zarabiają na zwiększonym popycie na uzbrojenie i uprawiają protekcjonizm wobec własnego przemysłu, choć od innych domagają się otwartych rynków.

– Jestem przekonany, że Europa i Stany Zjednoczone dojdą do porozumienia w sprawie otwartych rynków. Dla USA Europa jest głównym partnerem w wielkiej rywalizacji z Chinami i Ameryka nie może sobie pozwolić na to, aby Europę stracić. Jeśli nam przeszkadzają nowo ogłoszone amerykańskie subsydia dla zielonego przemysłu, to UE stać na wprowadzenie podobnych u siebie. Choć oczywiście najlepiej byłoby nie prowadzić wojny handlowej wcale i jak najszybciej znaleźć kompromis. Podobne momenty w relacjach atlantyckich zdarzały się w przeszłości i nigdy – nawet za Trumpa – nie przerodziły się w kryzysy, z których nie udałoby się wyjść. Sądzę, że tak samo będzie i teraz.

A co z zarzutami o zarabianie na wojnie?

Ale warto powiedzieć, że gdyby nie agresja Putina na Ukrainę, zielona transformacja Europy trwałaby dużo dłużej. Taki szok czasami więc się przydaje. Tymczasowe uzależnienie od drogiego importu gazu będzie kosztowne, ale dzięki temu w ekspresowym tempie będziemy coraz bardziej niezależni nie tylko od Rosji, ale i od USA czy Kataru. Co więcej, już widzimy, że przemysł europejski jest w stanie znacząco ograniczyć swoje zapotrzebowanie na gaz, nie zmniejszając produkcji. Dostosowujemy się niezwykle szybko. To „zasługa” Putina, ale i skutek tego, że Europa naprawdę chce być globalnym liderem zielonej transformacji i robi w tym kierunku więcej niż inni.

Gdybym był politykiem gospodarczym, hasło „zero tolerancji dla rajów podatkowych” wzięłbym na sztandary.

Powiedział pan, że Europa będzie do końca dekady bardziej samodzielna niż dziś. Jak to ma się wydarzyć, skoro najważniejsze technologie cyfrowe powstają poza Europą, a cała infrastruktura informatyczna naszego codziennego życia znajduje się w amerykańskich lub chińskich rękach?

– Owszem, Europa jest daleko w tyle, jeśli chodzi o globalne firmy cyfrowe. Ale to nie dlatego, że inżynierowie we Francji czy Polsce są mniej pomysłowi i inteligentni niż ich koledzy w USA i w Chinach, tylko dlatego, że Amerykanie budują

swoje przewagi konkurencyjne dzięki wielkiemu rynkowi wewnętrznemu oraz dominacji języka angielskiego i amerykańskiego biznesu na świecie. Podobnie Chińczycy, którzy mają największy na świecie rynek wewnętrzny, z którego dodatkowo wycieli konkurencję – wszystkie Facebooki i Google są zablokowane – i mogli do woli wdrażać i rozwijać własne usługi. Amazon, eBay i wiele innych amerykańskich firm nie odniosło sukcesu na chińskim rynku, bo po prostu nie mogły. Upraszczając, „każdy głupi” rozwinąłby firmę na rynku, gdzie jest ponad miliard chętnych klientów, a rząd nie dopuszcza do gry zewnętrznej konkurencji.

Ale Amerykanie też chronią swój rynek cyfrowy przed konkurencją z zewnątrz. Właśnie zakazano działalności chińskiego Huawei. Poza tym od kilku lat kolejne administracje zastanawiają się, jak zakazać lub ograniczyć dostępność TikToka, jednej z najpopularniejszych wśród młodych Amerykanów aplikacji, która także jest chińskim pomysłem.

– Tak, to prawda, chociaż Huawei i tak by nie podbił tego rynku. Firmy francuskie czy niemieckie mają jednak o wiele gorzej – od początku miały konkurencję ze strony bogatszych i bardziej doświadczonych firm amerykańskich. Dodatkowo

nie miały szansy wykorzystać dużego rynku wewnętrznego, który pozwoliłby rozwijać się najlepszym firmom na wielką skalę, bo z powodu różnych krajowych regulacji, języków oraz norm kulturowych takiego wspólnego rynku cyfrowego w Europie nie ma. Nie mieliśmy również podobnych do amerykańskich systemów wsparcia dla cyfrowego biznesu, funduszy typu *venture capital* gotowych finansować nowe pomysły rzeką gotówki, „aniołów biznesu” ani Doliny Krzemowej. W Europie nowym technologiom było po prostu o wiele trudniej. Dlatego, gdyby ▶

► Zuckerberg urodził się we Francji albo w Polsce, jego pomysł nigdy nie odniósłby sukcesu.

Ja akurat nie uważam, żeby Zuckerberg był najlepszym wzorem do naśladowania, ale co Europa ma zrobić z tym zapóźnieniem?

– Może trzeba powiedzieć sobie otwarcie, że z Googlem czy Amazonem europejska konkurencja nie wygra. Tym, co Europa może robić, jest wykorzystywanie nowych

Polaków kosztował ponad 500 mld zł dodatkowych wydatków na zbrojenia. Ale nikt nie będzie w stanie przekonać naszego społeczeństwa, że nie warto się zbroić. To byłoby zbyt duże ryzyko. Oczywiście w teorii można przekonywać, że lepiej byłoby zainwestować w coś innego niż czołgi i himarsy, ale w praktyce nie ma takiej opcji, bo gros społeczeństwa dodatkowe wydatki na armię popiera. Uważam jednak, że jedno

emisje dwutlenku węgla pozostaną na poziomie ułamków procenta. Po odpowiednich dostosowaniach będzie nas stać na wydatki zbrojeniowe i na zieloną transformację. Oba rodzaje wydatków mają zresztą ten sam cel: zapewnienie Polsce bezpieczeństwa.

Prof. Kołodko – często cytowany i przez pana, dlatego go przywołuję – nazwał inwestycje w zbrojenia „gigantycznym marnotrawstwem”. Nie szczędził też słów krytyki pod adresem polskiego parlamentu, gdy wszyscy bez wyjątku posłowie zagłosowali za tzw. Ustawą o obronie Ojczyzny, bez zastanawiania się, czy plany zwiększenia wydatków na armię mają sens.

– Pan profesor jest autorem świetnej koncepcji Nowego Pragmatyzmu. Myślę, że w duchu tegoż pragmatyzmu można powiedzieć, że skoro wszyscy posłowie w polskim parlamencie chcą zwiększyć wydatki na armię, to stoi za tą decyzją demokratyczny mandat, jakiego obywatele udzielili swoim przedstawicielom. Każda debata o tym, która nie uwzględnia tych faktów, będzie miała czysto teoretyczny charakter. Polskie społeczeństwo zdecydowało, że musimy się zbroić, bo zagraża nam Rosja. Ja również wolałbym, żeby tak nie było, i pryncypialnie z prof. Kołodką się zgadzam, ale rzeczywistość,

Możemy do końca tej dekady dogonić Japonię, jeśli trendy z ostatnich dziesięciu lat się utrzymają.

technologii do zwiększania produktywności. I to w dużym stopniu się udaje, chociaż do ideału daleko. Może też cywilizować technologie cyfrowe poprzez tworzenie najwyższych standardów w dziedzinie prawa ochrony prywatności, regulacji rynku cyfrowego czy sztucznej inteligencji. Tak już się dzieje i reszta świata na tym korzysta.

Czołgi i zielona energia

Skoro mówimy o zielonej transformacji... „Nie da się sfinansować wydatków koniecznych na walkę z globalnymi zmianami klimatu, jednocześnie zwiększając nakłady na tzw. obronność”.

– Chyba znam ten cytat. Prof. Grzegorz W. Kołodko? Tak.

– To oczywiście błyskotliwy cytat, ale ja mam nieco inne spojrzenie. Nikt nie chciał wydawać na zbrojenia, ale sytuacja nas do tego zmusiła. Nie było chętnych do wydawania na wojsko ponad 3% PKB...

Członkostwo w NATO wymaga od nas wydatków w wysokości 2% PKB, a nie ponad 3%. I ten pierwszy próg już dawno przekroczyliśmy, a za chwilę będziemy wydawać dwukrotność tej kwoty.

– Byliśmy jednak w Europie naiwni. A niektórzy chcieli – jak Niemcy – do końca Rosji wierzyć. Niestety, wszystkim przyjdzie zapłacić za wojnę, niezależnie od tego, co kto przed rosyjską agresją myślał. Putin będzie

drugiemu nie przeszkadza: możemy inwestować zarówno w armię, jak i w zieloną transformację.

To ciekawe. Jak?

– Na świecie mamy problem z nadwyżką oszczędności, tzw. *savings glut*. Szybko starzejące się społeczeństwa, szczególnie w państwach rozwiniętych, oszczędzają więcej, niż inwestują. Ta nadwyżka oszczędności do tej pory skutkowałą spadkami oprocentowania, bo skoro jest duża podaż oszczędności, a mało chętnych do inwestowania, to koszt pożyczania tych oszczędności spada. Dzisiaj nominalne oprocentowanie długu skoczyło do góry, ale to inflacyjne tsunami nie będzie trwało wiecznie. Za dwa, trzy lata

Polska jest niedoinwestowana. Dopiero przez ostatnie trzy dekady zaczęliśmy nadrobić tysiącletnie zaniedbania infrastrukturalne.

zapomnimy o tym koszmarze. Wrócimy do starego świata, gdzie wielkie globalne oszczędności zaczną znowu „szukać” swojego miejsca, i realny koszt długu, po odjęciu inflacji, pozostanie niski. Inwestycje w ramach zielonej transformacji będą w stanie zrobić z tych oszczędności pożytek.

Czy to możliwe, żeby wydatki na produkcję uzbrojenia szły w parze z redukcją emisji? Nie ma, z tego, co wiem, czołgów na panele słoneczne.

– Miejmy nadzieję, że nie będziemy musieli wszystkich tych nowych czołgów używać, a zwiększone

praktyka i demokracja zdecydowały inaczej.

Czy w realiach europejskich wydatki zbrojeniowe mogą mieć potencjał rozwojowy, czy są tylko transferem do amerykańskiego przemysłu i zatrudnionych w nim robotników?

– Wydatki zbrojeniowe mają znaczny potencjał rozwojowy, bo sporo nowych wojskowych technologii może być użytkowanych w świecie cywilnym, ale wiele będzie zależało od tego, czy polskie firmy i przemysł będą w stanie zaabsorbować technologie, które importujemy, do własnej produkcji.

Z Amerykanami będzie trudno, bo oni pilnują swoich patentów, ale nasze kontrakty z Koreańczykami, jak rozumiem, zakładają transfer technologii. Taki transfer już wcześniej się udał, czego przykładem jest sukces rosomaków, produkowanych na fińskiej licencji, czy krabów, które korzystają z zagranicznych elementów. Ten sprzęt, jak słyszymy od ekspertów, sprawdza się w warunkach bojowych. Powinniśmy maksymalnie wykorzystać napływające teraz do nas technologie, abyśmy mogli za jakiś czas kupować dla siebie własną broń.

Czas skończyć łupienie biednych

To może warto zacząć na poważnie walczyć z rajami podatkowymi, skoro się głowimy, z czego sfinansować te ambitne projekty?

– 100% zgody. Jak już wyprodukujemy te nowe fregaty i kanońki, wystawiam je najpierw na Kajmany, Bahamy i w kilka innych miejsc, żeby wymusić na nich likwidację rajów podatkowych i zatrzymanie kradzieży dochodów podatkowych należnych innym krajom. Oczywiście teraz trochę żartuję, ale musimy pokazać, że nie godzimy się na to, żeby co roku dochody krajów były niższe o setki miliardów dolarów z powodu istnienia rajów podatkowych.

Jako globalnej społeczności udało nam się na razie przynajmniej dogadać co do wprowadzenia minimalnej globalnej stawki opodatkowania korporacji. Zobaczymy jednak, jak będzie z wprowadzeniem tego planu w życie. Polskie rządy, w tym rząd Morawieckiego, na szczęście popierają walkę z rajami podatkowymi. Ale można zrobić o wiele więcej. Gdybym był politykiem gospodarczym, hasło „zero tolerancji dla rajów podatkowych” wzięłbym na sztandary.

Mówi pan, że rząd Morawieckiego wziął się do walki z unikaniem opodatkowania. Ale gdy trzeba było na arenie europejskiej wprowadzić podatek od zysków cyfrowych gigantów, polski rząd, działając w interesie amerykańskich firm, sabotował ten plan.

– Zgoda. Tu był wielki dysonans między tym, co polski rząd mówił o walce z unikaniem opodatkowania, a tą decyzją. Rozumiem, że w tle była walka o środki z KPO i groźba użycia przez Polskę w tej sprawie weta. Tak czy inaczej, był to zły sygnał. Ale już np. państwowy Polski Instytut Ekonomiczny opublikował świetny raport, w którym wyliczył, ile miliardów euro Europa traci przez raje podatkowe. I musimy, nie tylko we własnym interesie, ale też w interesie krajów dużo biedniejszych od

chodzi o poziom dochodu na głowę mieszkańca – drugą Japonią. Możemy do końca tej dekady, co kiedyś wydawało się nieosiągalne, dogonić Japonię, jeśli trendy z ostatnich dziesięciu lat się utrzymają.

Co do długu, nie jest prawdą, że stoimy na krawędzi przepaści. Moglibyśmy mieć dużo wyższy poziom długu wobec PKB niż obecnie – a mamy jakieś 51% PKB. To tylko niewiele więcej niż połowa średniej dla Unii Europejskiej. Jesteśmy zupełnie innym krajem niż ta Polska,

Za mało inwestujemy w siebie – wydajemy mniej niż 5% PKB na inwestycje publiczne.

nas – którym w ten sposób odbierane są szanse na rozwój – z ucieczką pieniędzy do rajów raz na zawsze skończyć.

Pan mówi, że czekają nas wielkie wyzwania inwestycyjne, wydatki na zbrojenia, infrastrukturę, zieloną transformację. Co by pan odpowiedział liberalnym polemikom, którzy mówią, że pieniędzy już nie ma, Polska je przetrwonila i czeka ją los Grecji?

– Nie będziemy ani drugą Grecją, ani trzecią Wenezuelą, ani piątymi Węgrami. Prędzej staniami się – jeśli

która przed ćwierćwieczem zapisała sobie w konstytucji limit długu 60% PKB. Jesteśmy dziś w UE, jesteśmy prawie trzy razy bogatsi, mamy dużo lepsze ratingi kredytowe niż w 1996 r., kiedy ten limit zaproponowano – co do zasady, moglibyśmy mieć dług publiczny przekraczający 60% PKB. To nie znaczy, że powinniśmy dług bez uzasadnienia zwiększać. Chodzi raczej o uświadomienie sobie, że mamy na to przestrzeń. Ciągłe powtarzanie, że jesteśmy „drugą Grecją”, prowadzi do...



Już ponad 350 protez dla dzieci z Syrii

#MisjaProtezy

 Polska Misja Medyczna

Wspieraj: pmm.org.pl

► No właśnie, do czego?

– Do tego, że nie inwestujemy w naszą przyszłość i przyszłość kolejnych pokoleń Polaków. Polska jest niedoinwestowana i widać to gołym okiem. Dopiero przez ostatnie trzy dekady zaczęliśmy nadrabiać tysiącletnie zaniedbania infrastrukturalne. Polska była przez prawie całą swoją historię na gospodarczych peryferiach i potrzebujemy ogromnych inwestycji, aby te peryferie opuścić.

Mądrze inwestować

Pańscy liberalni polemści odpowiadają, że to nie z powodu sufitu dla zadłużenia czy utrzymywania niskich deficytów budżetowych Polska jest niedoinwestowana, lecz przez łamanie praworządności, które odstrasza biznes.

– Łamanie praworządności to duży problem, nie tylko z przyczyn ekonomicznych. Ale poziom inwestycji w proporcji do PKB spada

Inwestycji w co? Tylko błagam, niech pan nie mówi, że we wszystko.

– Za mało inwestujemy w siebie – wydajemy mniej niż 5% PKB na inwestycje publiczne. A Chiny wydają 15% PKB, trzykrotnie więcej w proporcji do własnego dochodu niż u nas. Korea Południowa też w czasach swojego dynamicznego rozwoju i budowania czempionów przemysłu inwestowała więcej środków publicznych niż my. Skutkiem neoliberalnej narracji jest niedoinwestowanie Polski i osłabienie naszych fundamentów rozwoju.

W co inwestować? Bardzo dobre pytanie. Przede wszystkim w niepodległość energetyczną. Stać nas na to, żeby w ciągu dekady stać się państwem całkowicie niezależnym energetycznie. Dzięki atomowi i OZE Polska może się stać zieloną wyspą energetycznej niepodległości. I to są wysoce rentowne inwestycje. Międzynarodowy Fundusz Walutowy pokazał niedawno, że inwestycje

wielkości dochodu narodowego, co wprowadza w błąd. Czy 1 mln dol. długu tu dużo, czy mało? Dużo dla Marcina Piątkowskiego, ale tyle co nic dla Billa Gatesa. Dlatego mówienie o wysokim długu bez odniesienia do PKB jest manipulacją. Dług Polski wynosi około połowy naszego PKB i jesteśmy pod tym względem na jednej z lepszych pozycji w Unii Europejskiej, a nie gorszych.

A jednak, pokazują to międzynarodowe badania, obawy przed inflacją, długiem i pogorszeniem się poziomu życia wciąż są u nas bardzo duże. Równie pesymistycznie na gospodarkę patrzy dziś zaledwie kilka innych społeczeństw na świecie.

– Zamiast straszyć widmem finansalnej katastrofy, trzeba powiedzieć ludziom prawdę, że Polska jest niedoinwestowana, przez całą swoją historię była zapóźnioną gospodarką i nie możemy teraz sami ograniczać sobie szans i oszczędzać na rozwoju. Jeśli chcemy wreszcie wejść do pierwszej ligi gospodarek europejskich, nie zrobimy tego, boksując z jedną ręką zawiązaną za plecami – czyli ograniczając wydatki, które będą wspierały nasz rozwój. Czas odrzucić tę neoliberalną narrację, która szkodzi naszej przyszłości. Zielona transformacja, inwestycje w edukację, ochronę zdrowia i innowacje będą fundamentem naszego dobrobytu w przyszłości. Stać nas na to, mamy dość utalentowanych i wykwalifikowanych ludzi, by temu podołać.

Jakub Dymek

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

W co inwestować? Przede wszystkim w niepodległość energetyczną.

we wszystkich rozwiniętych gospodarkach, także w Niemczech czy w Ameryce. I to nie z powodu PiS i Kaczyńskiego. Poziom inwestycji spada m.in. dlatego, że zmienia się ich struktura. Kiedyś inwestowano w przemysł: stalownie, cementownie, kopalnie. A dziś? Istotną część inwestycji prywatnych to wydatki na dobra niematerialne – znaki towarowe, certyfikacje, licencje. A to są rzeczy, które trudniej policzyć i one po prostu mniej ważą. W Polsce inwestycje prywatne zmalały bardziej niż gdzie indziej i polityka rządu jest za to w części odpowiedzialna. Ale to niejedyny powód. Moim zdaniem świetnym sposobem na zwiększenie inwestycji prywatnych jest zwiększenie inwestycji publicznych, bo dadzą one impuls do dodatkowych inwestycji prywatnych. Zbudowanie nowej autostrady, ucyfrowienie usług publicznych czy inwestycje w lepiej wykształconych studentów sprawia, że sektor prywatny sam będzie chciał więcej inwestować, aby nowo stworzony potencjał wykorzystać.

publiczne w zieloną transformację zwracają się z nawiązką, mają pozytywne przełożenie na wzrost PKB i dzięki zwiększonym wpływom do budżetu pozwalają szybciej spłacić zaciągnięty na ich realizację dług. Nie widzę znaczących finansowych czy technologicznych ograniczeń dla zielonych inwestycji w Polsce – które i tak będą kluczowe dla przyszłego rozwoju kraju. Potrzebne jest tylko przywództwo.

Skoro kończymy tematem długu, ostatnie pytanie będzie właśnie o niego. Co zrobić z tym licznikiem długu publicznego, który wisi w centrum Warszawy?

– Nie lubię tego licznika. Powieszono go być może w dobrej wierze, ale w efekcie tylko dezinformował opinię publiczną. Wysokość długu nie jest bowiem celem rozwoju, tylko środkiem do celu, jakim są rosnący dobrobyt Polaków i wyższa jakość życia. Długiem trzeba tak zarządzać, aby te podstawowe cele wspierać. Dodatkowo na liczniku kwota długu jest pokazywana bez odniesienia do



Z Galicji



Jan Widacki

Generał Hermaszewski

Śmierć gen. Mirosława Hermaszewskiego, pierwszego i jak dotąd, mimo upływu lat, jedyne polskiego kosmonauty, sprawiła wielu poważny kłopot. Pierwsze reakcje we wszystkich w zasadzie mediach były spokojne i jakby wyczekujące. Dziennikarze nie bardzo chyba wiedzieli, co im pisać wypada, czego nie wypada. Nie wiem, czy czekali na reakcje polityków, czy wstuchiwali się w głos opinii publicznej, jakiej reakcji ta oczekuje. Na wszelki wypadek pisano o zmarłym generale ostrożnie, ale w sumie dość ciepło. Przypominano jego życiorys, będący odzwierciedleniem skomplikowanych losów narodu polskiego: miejsce urodzenia, Wołyń, tragedię rodziny Hermaszewskich w czasie rzezi wołyńskiej, powojenne losy dorastającego na Ziemiach Zachodnich chłopaka, przesiedlonego z ojczystych stron. Chłopaka zafascynowanego lotnictwem, którego pasja doprowadziła do wojska i dęblińskiej Szkoły Orłąt. Po latach został jej komendantem, a wcześniej zaliczył swoją przygodę z lotem w kosmos. Opis przeżycia rzezi wołyńskiej i cudowne niemal ocalenie przyszłego kosmonauty sprawiały chyba niektórym pewien kłopot, no bo jak tu teraz przypominać rzeź wołyńską? Jak się nie umie oddzielić przeszłości od teraźniejszości, a zwłaszcza przyszłości, to rzeczywiście trudno. Ale to jakoś półgębkiem jeszcze się dało opowiedzieć.

Większy problem liberalne media miały z innym epizodem, więc po prostu go pomijały milczeniem. Chodzi o platformianą ustawę „dezubekizacyjną”, która obniżała gen. Hermaszewskiemu emeryturę, kreując go równocześnie na zdrajcę narodu. Co więcej, nie wspomniano o tym, że ustawa ta, dzieło posłów Platformy Obywatelskiej, po przejściu przez Trybunał Konstytucyjny (w tym starym, słusznym składzie) obniżyła emeryturę generałowi jako jednemu z całego składu Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, nie ruszając emerytur m.in. generałów Jaruzelskiego czy Kiszczaka.

Ten „pomnikowy” wyrok, przypominam raz jeszcze, zapadł, gdy Trybunał Konstytucyjny był „w słusznym składzie”, a sprawozdawcą był późniejszy jego prezes.

Może dziś Platforma wstydzi się swojej ustawy, skoro PiS, kierując się tą samą filozofią, konsekwentnie poszło wytyczoną przez PO drogą dalej? A może wstydzą się tego wyroku ci ówczesni sędziowie TK, którzy jednym głosem przegłosowali, że ta ustawa była zgodna

z konstytucją? Publicyści i dziennikarze liberalnych, opozycyjnych mediów nie chcieli robić przykrości ani posłom Platformy, ani tym sędziom (dziś już zresztą w stanie spoczynku).

Za to rozgorzał spór o charakter pogrzebu generała. Znany powszechnie ze swojej mądrości, walczący dzielnie z cieniami PRL wiceminister Kowalski (ta formacja tak ma: walczy albo „z ostrym cieniem mgły”, albo z „cieniem PRL” i ta walka z cieniami chyba najlepiej jej wychodzi) oburzał się na samą myśl, że pogrzeb pierwszego polskiego kosmonauty, byłego komendanta Szkoły Orłąt, w końcu generała Wojska Polskiego w stanie spoczynku, mógłby mieć charakter państwowy, z ceremoniałem wojskowym. Nie wiem, czy wiceminister Kowalski wie, że dowódca spod Monte Cassino, gen. Władysław Anders, pochowany wśród swoich żołnierzy, rozpoczął karierę w armii carskiej, dosłużył się w niej stopnia rotmistrza. Czy zdaniem wiceministra

To, że państwowy pogrzeb gen. Hermaszewskiemu musi załatwiać zięć, świadczy o degrengoladzie państwa PiS.

Kowalskiego Andersowi należał się pogrzeb z wojskowymi honorami, czy może nie? Czy trzeba gen. Andersa wykopać (dosłownie i w przenośni) z cmentarza na Monte Cassino?

Bardzo jestem ciekaw, czy mędrzy z prawicy kwestionują też polskość, patriotyzm i zasługi generałów, którzy dobrowolnie służyli w wojsku polskim w czasach Królestwa Kongresowego, a więc wtedy, gdy Polska była podobnie jak w czasach PRL niezupełnie suwerenna. Pewnie nawet o tym wszystkim nie wiedzą, więc nie muszą rozstrzygać tych dylematów.

Gdy piszę te słowa, nie wiadomo jeszcze nic pewnego, ale media donoszą, że gen. Hermaszewski będzie jednak miał pogrzeb z ceremoniałem wojskowym. Podobno załatwił to z ministrem Błaszczakiem europoseł PiS (weteran wielu partii, znawca wielu dyscyplin sportowych) Ryszard Czarnecki. Prywatnie zięć generała.

Mirosławowi Hermaszewskiemu należy się pogrzeb z wojskowymi honorami. A to, że musi mu to dopiero załatwiać zięć, świadczy o degrengoladzie państwa PiS, w którym wszystko się załatwia. Dla rodziny, dla kolegów...

Coś mistycznego...

Hermaszewski był ponad. I jako kosmonauta, i jako człowiek, który łączył odmienne światy

Marcin Ogdowski

Z uczestnikiem misji Apollo 15 Alfredem Wordenem rozmawiałem na początku września 2019 r., jakieś sześć miesięcy przed jego śmiercią. Amerykanin przebywał w kosmosie 12 dni, na przełomie lipca i sierpnia 1971 r. Samotnie krążył wokół Księżyca, gdy dowódca David Scott i pilot modułu księżycowego James Irwin eksplorowali powierzchnię ziemskiego satelity. W drodze powrotnej Worden opuścił moduł do wodzenia, aby wyjąć film z kamer niedostępnych z wnętrza. Odbił spacer kosmiczny na orbicie Srebrnego Globu, 315 tys. km od Ziemi.

Dawni konkurenci

– Spędziłem w próżni 38 minut, mając doskonały widok i na Ziemię, i na Księżyc. Niesamowite, mistyczne doświadczenie... – wspominał pułkownik, a mnie przypomniały się słowa gen. Mirosława Hermaszewskiego, który w wywiadach podkreślał metafizyczny charakter doznań będących udziałem ludzi posłanych w kosmos. „Lecimy, koledzy śpią, patrzę przez iluminator i czuję, jakby ktoś tu był, ktoś, kto to wszystko wymyślił, stworzył. Zresztą, gdyby go nie było, to i mnie by tu nie było. Niektórzy moi koledzy przed wylotem w kosmos nie tylko byli ateistami, ale i zatwardziałyimi poganami. Jednak wracali stamtąd wyraźnie odmienieni”, mówił Hermaszewski reporterce Dziennika.pl Magdalenie Rigamonti.

Wspominałem o tym Wordenowi, a nazwisko Hermaszewski skłoniło go do ciekawego wywodu. Jak zauważył, idea podboju kosmosu była dzieckiem politycznej i militarnej rywalizacji USA i ZSRR. – Lecz dziś



Mirosław Hermaszewski podczas 23. Międzynarodowych Targów Książki w Krakowie, 27 października 2019 r.

nie myślę o dawnych konkurentach, ludziach, którzy wsiadali do raket, inaczej jak o przyjaciółach – zadeklarował wieloletni pracownik NASA. Dwa dni po naszej rozmowie usiadł z Hermaszewskim przy konferencyjnym stole (obydwaj jako goście honorowi kieleckich targów przemysłu obronnego). Wiekowi panowie, niczym starzy kumple, ze swadą i wzajemnym szacunkiem opowiadali o kosmicznych przygodach. W tym też było coś mistycznego.

Człowiek pojednania

A zarazem symbolicznego, charakterystycznego dla zmarłego

przed kilkoma dniami jedyne polskiego kosmonauty. Hermaszewski, rasowy pilot bojowych odrzutowców (generał odszedł z armii w 2005 r., za sterami samolotów z biało-czerwoną szachownicą spędził łącznie 2047 godzin i 47 minut), był człowiekiem, który łączył odmienne światy. W Kielcach śpiął dawny Wschód z Zachodem, w życiu prywatnym stał się pomostem między skłóconymi polskimi plemionami. On, oficer ludowej armii, bohater Związku Radzieckiego, został teściem Ryszarda Czarneckiego, wpływowego polityka PiS. To na Hermaszewskiego – i potencjalnie wyrządzoną mu niesprawiedliwość

– powołał się Andrzej Duda, wetując pisowski projekt tzw. ustawy degradacyjnej, która miała odebrać stopnie generalskie członkom Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego (gwoili rzetelności zauważyć należy, że wcześniejsza ustawa dezubekizacyjna pozbawiła generała części emerytury). Dziś, mimo pomruków niezadowolenia ze strony zapiekłych lustratorów, nie było właściwie publicznej dyskusji o tym, w jaki sposób pochować generała. Pogrzeb państwowy z ceremoniałem wojskowym nie jest żadną łaską, ale niegodna praktyka odmawiania przez MON po 2015 r. tego przywileju

matkę (...). Bardzo kibicował moim poszukiwaniom”.

I nic w tym zaskakującego, Hermaszewski bowiem, podobnie jak jego brat Władysław, daleki był od rewanżyzmu i promowania odpowiedzialności zbiorowej. Jego publiczne wypowiedzi na temat rzezi – choć dramatyczne – nigdy nie podsycaly antyukraińskich nastrojów.

Ten jedyny

Obok powagi i klasy miał Hermaszewski poczucie humoru i dystans. „Wierzy pan w istnienie obcych cywilizacji?”, zapytał go kiedyś Zbigniew

Mirosław Hermaszewski stracił w wołyńskiej rzezi 19 członków rodziny, w tym ojca. Jego matka przeżyła – kula tylko ją musnęła.

emerytowanym oficerom nie czyniła go oczywistym. Jednak pisowska zajądłość okazała się za krótka na zasługi Hermaszewskiego.

Ale i on sam wiódł życie człowieka pojednania. „W dniu, gdy włożył skafander kosmiczny i gdy zamknęli za nim właz do rakiety, przypomniał sobie banderowca, który strzelił w skroń jego matce. Kamila Hermaszewska uciekała z płonącego domu, z małym tylko zawiniątkiem w rękach. Tamten ją dogonił. Wycełował, pociągnął za spust. W tym zawiniątku był on, mały Mirek” – tak zaczyna się rozdział poświęcony Hermaszewskiemu w książce Witolda Szabłowskiego „Sprawiedliwi zdrajcy. Sąsiedzi z Wołynia”. Urodzony w 1941 r. w Lipnikach przyszedł generał stracił w wołyńskiej rzezi 19 członków rodziny, w tym ojca. Jego matka przeżyła – kula tylko ją musnęła. Nim trafiła pod bezpieczny dach, godzinami szukała syna. Półtoraroczny chłopiec przeleżał marcową noc w zaspie. Cudem przeżył. „Spotykaliśmy się wiele razy i były to bardzo treściwe, ciekawe spotkania”, napisał na facebookowym profilu Szabłowski, w dniu, w którym zmarł generał. „Pod wpływem tych rozmów jeździłem po Wołyniu tropem Ukraińców, które ratowały jego

Górniak, dziennikarz „Nowej Trybuny Opolskiej”. „Nie wyobrażam sobie, żeby ich nie było. Tylko niech pan nie pyta mnie, jak wyglądają. Niech pan spyta Boga. A swoją drogą, głupszych od nas chyba nie mógł stworzyć”, tej odpowiedzi towarzyszył śmiech generała.

Który nie schodził mu z ust nawet w sytuacjach trudnych. W 1998 r. jego syn, również pilot, został oskarżony o współpracę z gangsterami. Miał im wystawić do rabunku

Hermaszewski, podobnie jak jego brat Władysław, daleki był od rewanżyzmu i promowania odpowiedzialności zbiorowej.

arsenał jednostki wojskowej na warszawskim Bemowie. „H.”, jak przedstawiały syna media, został zdegradowany, półtora roku przesiedział za kratami. Ostatecznie uwolniono go od zarzutów i uchylono wyrok pięciu lat więzienia. Sąd Najwyższy nie dał wiary zeznaniom świadków incognito, nowych dowodów nie znaleziono. Generał wraz z żoną i córką byli na każdej rozprawie. To w takich okolicznościach poznał Hermaszewskiego Wojciech

Tumidalski, w 2001 r. reporter sądowy PAP (dziś w „Rzeczpospolitej”).

– W przerwach w rozprawie pan generał snuł opowieści z kosmicznych podbojów i różnych podróży. Słuchaliśmy tego z kolegami reporterami zauroczeni – wspomina Tumidalski. I przytacza anegdotę o tym, jak któregoś razu dziennikarze wypytywali o techniczne aspekty działania pokładowej ubikacji. – „Masz zeszyt?”, spytał generał kolegę. „To dawaj”. I wyrysował mu cały schemat. A potem jeszcze opowiedział, jak raz koledze Klimukowi (Piotrowi Klimukowi, załogantowi Sojuza-30 – przyp. aut.) nie udało się trafić we właściwy otwór i żółta kula ciecży w stanie nieważkości przemierzała pomieszczenie statku kosmicznego, aż w pewnym momencie niebezpiecznie zbliżyła się do portretu Lenina... – uśmiecha się dziennikarz. – A kumplowi do dziś zazdroszczę tego zeszytu ze schematem kosmicznego kibla. Takiego autografu kosmonauty nie ma nikt na świecie.

A czy kiedyś jeszcze ktoś będzie miał? Czy jest szansa, by był to rysunek spod polskiej ręki? Gdy w czerwcu 1978 r. Mirosław Hermaszewski wsiadał na pokład Sojuza, podkreślano, że jest pierwszym Polakiem lecącym w kosmos. Po nim mieli być następni. Jak wiemy, nic z tego nie wyszło. Obecnie największe szanse na międzygwiazdną

eskapadę ma dr Sławosz Uznański, inżynier, projektant elektroniki, absolwent cywilnych uczelni, wybrany niedawno do korpusu załóg rezerwowych Europejskiej Agencji Kosmicznej (ESA). Ale nawet jeśli łodzianin oderwie się od Ziemi, Hermaszewski i tak pozostanie tym jedynym. Ewentualni następcy generała będą już nie kosmonautami, lecz astronautami, zgodnie z anglosaską terminologią.

m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

Zuzanna Muszyńska

Gdy do prania zużywa się 40 wader wody ze studni, niedojedzone zupy lądują w zlewie, listwy podłogowe są zrywane pod nieuwagę dorosłych, a tapczany mokną podczas deszczu – można być mimo wszystko zadowolonym z życia, jak wynika z badań nad rodzinami wielodzietnymi. Wychowuje się w nich co czwarte polskie dziecko.

Czworaczki

U Anny i Remigiusza – małżeństwa psychologów z Bydgoszczy – planowanie rodziny zmierzało ku tradycyjnemu modelowi 2+2. Z najstarszą córką, Tosią, Anna spędziła półtoraroczny urlop macierzyński, po czym wróciła do pracy, równocześnie kończąc specjalizację. Opowiada: – Zawsze czuliśmy, że skoro Tosia wniosła w nasze życie tyle wartości, dobra i miłości, a od początku była dziewczynką Ignącą do innych dzieci, to nastąpi moment powiększenia rodziny.

– Nowina o ciąży trójcejącej była dużym zaskoczeniem – kontynuuje Anna. – Po wyjściu z USG usiedliśmy z mężem na ławce, nie bardzo rozumiejąc, co właściwie nas czeka. Zaskoczenie, obawa, ekscytacja towarzyszyły nam do kolejnego badania. Wówczas pan doktor oznajmił, że podejrzewał, iż ktoś jeszcze tam się chowa. I faktycznie – czwarty zawodnik! Byłam wtedy sama na badaniu. Jestem doktorem nauk medycznych i jedyne, co przyszło mi do głowy, to lista możliwych powikłań i przekonanie, że nie donoszę bezpiecznie ciąży. Wypłakałam się pani pielęgniarki i do domu wróciłam lżejsza o kilka ton żalu. Mąż podszedł do sprawy zadaniowo – pięć minut od wiadomości szukał w internecie siedmioosobowego auta.

Dzieci urodziły się po 30 tygodniach ciąży, ważąc zaledwie 1050-1450 g. Przez dwa miesiące walczyły o życie i tę walkę wygrały, ale pozostały im m.in. drobne wady narządów, zmysłów i rozwoju układu nerwowego rzutujące mocno na reaktywność emocjonalną. Weronika



Pomoc babci przy opiece nad czwórką maluchów jest nieoceniona.

Bogaci w dzieci

Największe obawy pojawiają się na wieść o trzeciej ciąży, potem już z góry

głośno płakała przez wiele godzin, Marcelina cierpiąca na refluks zwracała większość mleka, co Anna wspomina z nutką humoru, bo osoba karmiąca musiała trzymać dziecko pod odpowiednim kątem, jak przy otwieraniu butelki szampana. – Początki były skrajnie trudne – mówi. – Do domu maluchy przyszły z listą ok. 20 leków i specjalnymi wymaganiami opiekuńczymi.

Jako pierwsze wróciły ze szpitala Olga i Marcelina, tydzień później Dominik i Weronika. Do opieki zaangażowano babcię, dziadka, ciocię oraz opiekunki. To był trudny czas pandemii, czyli odseparowania mamy od dzieci na długie okresy pobytu w szpitalu, a potem ostrożnego włączania w opiekę kolejnych osób.

Tulieniu maluszków nie było końca. Anna na zmianę usypiała je i ściągała pokarm. Kanapki jadła na raty, niedojedzoną zupę wylewała do zlewu. – Spałam trzy godziny na dobę. Gdy dzieci miały pięć miesięcy, po raz pierwszy wszystkie naraz spały pełne sześć minut – uzupełnia.

Głód i brak snu łatwiej było znieść niż poczucie, że zawodzi się dzieci. Dla trzyletniej wówczas Antosi powrót mamy ze szpitala nie oznaczał większej zmiany. – Byłam dla niej nadal praktycznie nieobecna – mówi Anna. Córeczka prawie się nie uśmiechała. Wszyscy – rodzice i dzieci – przeszli głęboki kryzys emocjonalny. – Z wycieńczenia chciałam przestać istnieć, bo byłam przekonana, że nie przeżyję kolejnego dnia,

ale potem słyszałam płacz dziecka i wstawałam do dalszej walki – opowiada Anna.

Dzieci są ze sobą bardzo związane. Antosia spędza czas z rówieśnikami, ale w domu chętnie wygłupia się z rodzeństwem, bierze udział w gonitwach, zabawach w treningi koni i tresurę lwów. Opieka nad dwuipółlatkami jest łatwiejsza. Wypad do miasta nie wymaga wkładania całej czwórki do fotelików, a potem do dwóch wózków. Dzieci potrafią same zapiąć pasy. Na spacerach maszerują samodzielnie. Zostają pod opieką jednej osoby. Biorą udział w gotowaniu, sprzątaniu, wyprawianiu psa. Od niedawna cała czwórka chodzi do żłobka w Bydgoszczy. Panie ocierają pot z czoła, wypuszczając gromadkę do domu. Każdy opiekun czworaczek czuje się podobnie. – Chwila nieuwagi i znajdujemy wyrwaną bramkę, wylany za kanapę litr soku czy przeprogramowaną pralkę – tłumaczy Anna.

Maluchy różnią się charakterem i temperamentem. Weronika to rozrabiara, uwielbia zwierzęta, nie boi się jazdy konnej i lubi być fotografowana. Marcelina jest bystra, bywa nerwowa, chętnie gra rolę taty albo mamy wobec rodzeństwa. Dominik majsterkuje, demontuje, z wyrwaniem listew podłogowych łącznie. Olga jest przylepą, trochę roztrzępaną, trochę szaloną, z ujmującym uśmiechem. Tosia tańczy, śpiewa, jeździ konno, jest bardzo towarzyska i lubi grać w rodzinie pierwsze skrzypce.

Mama psycholog uważa, że obok szukania fachowych rozwiązań czasem lepiej po prostu być, kochać dzieci, cieszyć się ze wspólnej zabawy, udanych kontaktów z innymi dziećmi czy spontanicznych przepras, gdy ktoś komuś sprawi przykrość. Oboje rodzice pracują zawodowo na własny rachunek – nawet podczas rodzinnego urlopu w Hiszpanii – co jest rozwiązaniem bardzo praktycznym, niemniej jednak plany zawodowe musiały drastycznie się zmienić, podkreśla Anna. Utrzymanie rodziny wielodzietnej to obecnie duże wyzwanie. Pomoc finansowa od państwa wystarcza na pieluszki,



Weronika, Marcelina, Olga i Dominik na zimowym spacerze.

Całą czwórkę trzeba jednocześnie nakarmić.

mleko i część leków. Inne wydatki – wizyty u specjalistów, rehabilitacja, zatrudnienie opiekunki, jak również wyżywienie i ubranka – są ogromne. – Bardzo pomagają nam przyjaciele. Mamy już na ten sezon buty i kurtki na zimę, foteliki samochodowe czy stoliki do zabawy. Gdybyśmy mogli wybrać najlepszą formę pomocy, zdecydowanie byłoby to dostęp do lekarzy bez kolejek oraz przyznanie etatu opiekunce.

Na święta mama czworaczek życzyłaby sobie „wiaderka spokoju”. Dzieci pierwszy raz świadomie oczekują Gwiazdora i choinki. – Przez kolejny rok jako rodzina wspieraliśmy się, a czworaczki bezsprzecznie wciągnęły w wir codzienności wszystkich bliskich, za co jesteśmy im ogromnie wdzięczni i to miłe móc przy wigilijnym stole podzielić się tą radością – podsumowuje Anna.

Nigdy nie będziemy sami

Leszek wypatrzył przyszlą żonę na zabawie w Mamliczu. On miał wtedy

19 lat, Zdzisia dwa lata więcej. – Nie przyznałem się, że jestem młodszy – śmieje się Leszek. – Poznaliśmy się wiosną, przez całe lato jeździliśmy na zabawy, pod jesień zaciążyła. W lutym braliśmy ślub przy 16-stopniowym mrozie.

Dom, w którym mieszkają, pochodzi z 1939 r. W czterech pokojach z kuchnią i łazienką wychowali szesnaścioro dzieci. Pierwszy syn urodził się w 1985 r. Potem jeszcze jedenastka chłopców i cztery dziewczynki. – Jakbym miał więcej córek, to byłyby już poza domem, a tak chłopaki siedzą u nas – narzeka Leszek. – Jesteśmy dziadkami pięciu wnuków



i sześciu wnuczek. Najstarsza ma 16 lat, a nasz najmłodszy to 15-latek – wylicza. Zdzisia gładko przeszła do opieki nad parą wnucząt. Syn z rodziną raczej się nie wyprowadzi, nie ma dokąd, nie ma pracy.

Rodzice Leszka przenieśli się na wieś z Bydgoszczy. W Smerzynie zamieszkali kątem u poprzednich właścicieli domu, w zamian za uprawę pola. Dom wyremontowali, wstawili szyby w okna. – W życiu do miasta bym nie wrócił. Mieliśmy propozycję, żeby zamienić naszą chatę na dwa mieszkania. Nie chciałbym, nawet gdyby dopłacili! Tam wszystko kup: marchewkę, pietruszkę, a tutaj mam swoje – wyjaśnia Leszek. Chociaż pole niewielkie i jeszcze sąsiad się grodzi, zabierając dostęp do łąki. Leszek sprzedał byczki, ale i tak nogi niosą go ▶

► codziennie do obory. – Nie wiadomo po co – mówi. Wcześniej hodował trzodę, ale chlew się spalił. – Ubezpieczenie starczyło na odbudowę potowy – wspomina. – Żadnej pomocy z sąsiedztwa nie dostałem, od sołtysa, gminy, Kościoła, nic. Sam wszystko odbudowałem. Pieniądz ogłupia ludzi – ciągnie. – My nie oszczędzamy na jedzeniu. Najpierw płacimy rachunki, bo nie chcemy mieć długów, reszta idzie na życie.

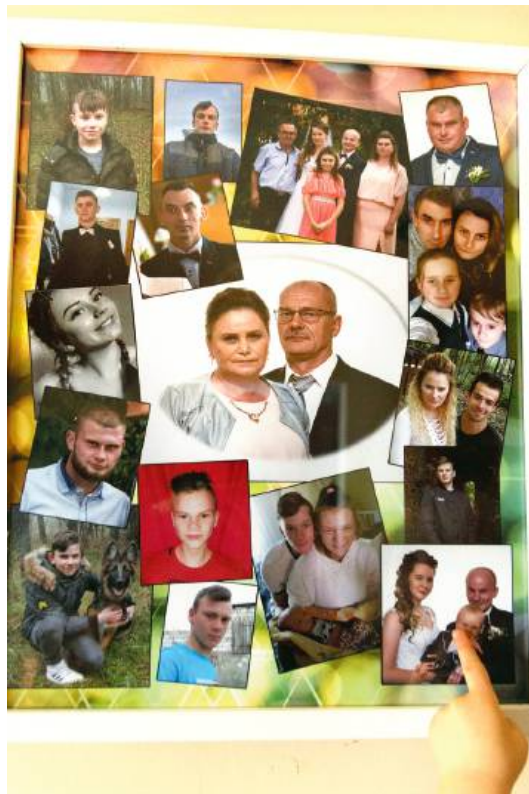
Zdzisia rzadko zabiera głos. Oznajmia tylko, że wypłaty 500+ niedługo im się skończą – po osiemnastce jednego z synów zostanie dwóch z zasiłkiem. Najwięcej było tego 3 tys. zł. Leszek dodaje: – Kiedyś mnie wyzywali od dzieciorobów, a nie spytali, czy mam na chleb. Teraz mówią, że jestem gościem, bo mam 500+. A to na dzieciaki szło, najwięcej na ubrania dla każdego na zimę.

Tokarz z zawodu, miał zostać policjantem, ale zrezygnował z planów. – Koledzy mnie wyśmiali, że idę do milicji, to podałem papiery – wyjaśnia. – Dziś miałbym dobrą emeryturę, a tak przez 20 lat na dwa etaty pracowałem, w Zachemie i w lasach przy wycince drzew. I w sześciu innych miejscach. Teraz jestem na rencie, z biodem do wymiany.

Zdzisia skończy w przyszłym roku 60 lat, wygląda znacznie młodziej. Na los nie narzeka. Twierdzi, że starsze dzieci pomagają młodszymi, pampersy zastąpiły tetrowe pieluchy i jakoś to szło. – Do każdego prania brała 40 wiader wody, razem z podwójnym płukaniem – dopowiada za nią żona. – Po wyciągnięciu 10 wiader trzeba było odczekać ze dwie godziny, żeby woda naszła do studni.

Jako jedna z grona matek wielodzietnych Zdzisia otrzymała od premier Ewy Kopacz emeryturę specjalną, która obecnie wynosi 1090 zł. Inne kobiety, lepiej wykształcone, z mniejszą liczbą dzieci, dostały więcej. Rodzina nigdy nie była na wakacjach. Dzieci jeździły na kolonie organizowane przez zakład pracy i na szkolne wycieczki. Do tej pory ożenił się tylko jeden syn, reszcie

nieśpiesznie do ślubu. Dzięki Bogu, bo wesele oznaczałoby wzięcie pożyczki. Wśród synów są elektryk, blacharz samochodowy, stolarz, piekarz, kucharz, masarz. Córki skończyły liceum, jedna wyjechała do Irlandii. Rodzice byli u niej z wizytą. Przelecieli się samolotem i to była największa frajda.



Na zdjęciu z okazji 35-lecia ślubu widać całą wielką rodzinę pani Zdzisławy i pana Leszka ze Smerzyna.

Najmłodsi synowie chodzą do szkoły, starsi pracują w budowlance. Kilku za granicą, w Belgii i w Niemczech. Ci, którzy zostali u rodziców, dokładają się do gospodarstwa. – Najlepiej byłoby, gdyby dali po stówce raz na tydzień, ale zapominają, a potem sobie przypomną i napełniają lodówkę po brzegi – irytuje się Leszek. Ale prawdziwe problemy mieli kiedyś – dom podmakał, raz w tygodniu trzeba było odsuwać od ścian tapczany i wietrzyć pomieszczenia. Przyszły suche lata, problem się skończył.

Pod choinkę trafiają skromne prezenty, jak zawsze. Na wigilię kupne pierogi. Dojedzie, kto będzie mógł. Marzenia? – Żeby już się porządzali!

Chociaż sami na pewno nigdy nie będziemy! – śmieje się Zdzisia. – A ja chciałbym mieć własny kąt, pokój zamykany na klucz, taki, żebym mógł kiedyś się wypaść – dorzuca po chwili zastanowienia jej mąż.

Trójka z plusem

Przed II wojną światową za wielodzietne uważano rodziny z sześciorgiem i więcej dzieci. Wielodzietność częściej niż obecnie cechowała rodziny miejskie. Dziś według GUS duża rodzina to 3+. 60% rodzin wielodzietnych mieszka na wsi. Po przemianach ustrojowych tradycyjny model rodziny się zmienił – młodzi odkładają decyzję o małżeństwie i dzieciach, stawiając na karierę i dorobienie się. Presję społeczną, by założyć rodzinę, zastąpiły wzorce importowane z Zachodu – wolne związki, pary bezdzietne, rozwody.

Mimo rządowych programów Rodzina 500+ (39,9 mld zł w 2021 r.), Dobry Start czy Karta Dużej Rodziny dzietność Polaków spada. W rodzinach wielodzietnych żyje zaledwie 3,5 mln osób – wychowuje się w nich co czwarte polskie dziecko. W 2016 r. na zlecenie Związku Dużych Rodzin Ipsos przeprowadził pierwsze ogólnopolskie badania rodzin wielodzietnych. Jak wynika z raportu „Wielodzietni w Polsce”, rodziny 2+3 postrzegane są jako beneficjenci pomocy społecznej oraz tzw. margines społeczny. Na pojawienie się kolejnych członków dużej rodziny reagują negatywnie dziadkowie, sąsiedzi, a nawet lekarze, pielęgniarki i położne. Młode mamy mają utrudniony powrót do pracy, w żłobkach i przedszkolach brakuje miejsc – wszystko to sprawia, że coraz mniej par decyduje się na troje i więcej dzieci.

Większość wielodzietnych rodziców przyznaje, że nie planowała założenia dużej rodziny. Największe obawy, głównie finansowe, pojawiają się na wieść o trzeciej ciąży, potem już z góry.

Zuzanna Muszyńska
z.muszyńska@tygodnikprzeгляд.pl

Listonosz – zawód z misją

Wdzięczność ludzka dodaje listonoszom skrzydeł

Helena Leman

Eugeniusz, listonosz z Podlasia z prawie 30-letnim stażem, opowiada, że miłości do tego zawodu nauczył go ojciec, również listonosz.

– Pamiętam z czasów dzieciństwa ten moment, gdy zaczynała się sroga zima – wspomina. – Wtedy ojciec z roweru przesiadał się na sanie, a mnie brał jako woźnicę. Pilnowałem koni, gdy chodził po domach i roznosił listy, kartki świąteczne, emerytury, gazety: „Współczesną”, „Porannego”, „Chłopską Drogę”, „Plon”. Dziś już części tej prasy nie ma, ale wtedy ludzie czekali na nią, bo nie było internetu, a w piątkowych wydaniach gazet był program telewizyjny. Jechaliśmy tak od wsi do wsi w zamiecie, w siarczystym mrozie, koniom spod kopyt wypadały śnieżne kule, dzwonek u sań mieszał się ze świstem wiatru i skrzypieniem płóz, a mieszkańcy witali nas jak przybyszy z daleka. Urzekło mnie to wędrowne, trochę cygańskie zajęcie, pełne romantyzmu, radości, przygód. I to uczucie pozostało we mnie do dziś, rano powtarzam sobie w myślach: byle tylko wyjechać z poczty, a wszystko się ułoży.

Eugeniusz nie jeździ już rowerem ani saniami. Wyśłużonym samochodem codziennie robi ok. 100 km, przemierza puszczańskie drogi aż pod granicę. Nieraz mijają tych, co nielegalnie ją przekroczyli, kręcą się na poboczach zagubieni, błądzą po polach, czasem zachodzą do wiosek po wodę, po jedzenie, żeby się ogrzać, ale Straż Graniczna szybko ich wychwytywa. Szkoda mu tych ludzi. – Przecież oni szukają lepszego życia. Czy Polacy nie wyjeżdżali kiedyś nielegalnie do Ameryki, do Anglii, nie szukali tego samego? – pyta i zamyśla się.

Chce pozostać anonimowy. Ostatnio, gdy w jednej z regionalnych gazet ukazało się zdjęcie jego kolegi po fachu, ten dostał ostrą reprymendę

od zwierzchników. – Nie powinno tak być – ucina i dodaje, że gdyby nie fajne relacje z ludźmi i to, że ciągle jest w ruchu, dawno rzuciłby tę pracę.

Pod kreską

Eugeniusz zarabia brutto najniższą krajową, która w tym roku wynosi 3010 zł, na rękę ma ok. 2700 zł i jak większość listonoszy dorabia do tej pensji. On akurat pracuje w swoim gospodarstwie. – Wstaję o pół do piątej i karmię bydło, o szóstej wyjeżdżam z domu na pocztę, odbieram przesyłki, paczki, sortuję je, piję kawę i o dziewiątej ruszam w rejon – opowiada. – Do drugiej zazwyczaj udaje mi się go objechać. Jak są emerytury, trwa to trochę dłużej, ale obecnie coraz więcej emerytów dostaje pieniądze na konto. Po trzeciej po południu jestem już w domu, robię obrządek

sam, ale z bardziej skomplikowanymi trzeba iść do warsztatu.

Krzysztof Szykowski, listonosz z Chełmży (staż pracy 43 lata i pensja niewiele większa niż to, co ma Eugeniusz), gdy się z nim kontaktuję, właśnie oddał swój samochód do przyjaźnionego mechanika.

– Wczoraj byłem w warsztacie i usłyszałem, że jego naprawa ma kosztować co najmniej 1000 zł – mówi. – Mechanik był zdziwiony, że chcę remontować auto, którego wartość to niewiele ponad 2000 zł. Właśnie się zastanawiam, co robić. Takie dylematy to codzienność wielu polskich listonoszy. Przeważnie każdy z nas ma dwa samochody, żeby na wypadek awarii było czym pracować, ale to generuje dodatkowe koszty. A podwyżki w grudniu dostaliśmy ok. 400 zł brutto, w styczniu znowu będziemy pod kreską, bo najniższa krajowa w 2023 r. ma wzrosnąć do

Ludzie na wioskach, chociaż emerytury rolnicze mają niewielkie, są serdeczni – częstują tym, co pod ręką.

i o piątej mogę wreszcie odpocząć, chyba że traktor się popsuł lub w gospodarstwie trzeba coś naprawić. Latem dochodzą prace polowe: opryski, koszenie i zwózka siana, zbiory.

– Choć wokół drożyzna, dla rolników ceny zboża spadają – zwraca uwagę. – W żniwa płacono 1500 zł za tonę, teraz 1400. Kukurydza zawsze, im bliżej zimy, drożała, a w tym roku tanieje, ludzie mówią, że to przez wojnę w Ukrainie. A ceny wołowiny tylko w sklepach rosną. Tygodniowo wydaję na paliwo do samochodu 450 zł, nasza pocztowa „kilometrówka” do niedawna wynosiła 83 gr za kilometr, ostatnio ją podnieśli do złotych – to śmieszne pieniądze. Do tego auto się niszczy na tych bezdrożach, a ceny części zamiennych i usług mechaników rosną, proste rzeczy naprawiam

3490 zł. Chcielibyśmy też osobno otrzymywać wypłatę i osobno premię, a nie że premię wlicza się nam do pensji i przez to pracodawca zawsze może powiedzieć, że płaci najniższą krajową, gdy w rzeczywistości tego nie robi. Marzymy o służbowych autach, ale na razie to marzenie ściennej głowy. Podobno 70 mln za wybory kopertowe rząd przełał na konto naszej firmy, może coś się zmieni, trzeba mieć nadzieję.

Szykowski jest działaczem Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Listonoszy Poczty Polskiej, kieruje komisją oddziałową w Bydgoszczy. Strona tego związku jest przejrzysta, są na niej krótko wymienione poszczególne komisje z osobami do kontaktu, podany jest ich numer telefonu i mejl i o dziwo ▶

► te telefony są natychmiast odbierane. Może dlatego, że 99% związkowców to czynni listonosze.

Do pensji listonosza Krzysztof Szykowski również dorabia. Dorywczo jest fotografem, kręci filmy z uroczystości, pracuje poza tym w ubezpieczeniach spółdzielni. – Zostałem wychowany w szacunku dla pracy. „Jak chcesz do czegoś dojść, musisz ciężko pracować”, powtarzał mi dziadek – podkreśla. – W moim domu się nie przelewało, chodziłem do liceum ekonomicznego, a w wakacje, żeby mieć swoje pieniądze, zatrudniałem się u rolników. Gdy zostałem listonoszem, najpierw jeździłem rowerem, potem motorowerem, motorem, długo nie było mnie stać na samochód. Teraz młodzi mają łatwiej, ostatnio zatrudnił się u nas chłopak, nie ma jeszcze 26 lat, a pensję pobiera taką jak ja, bo nie zabierają mu podatku.

Gdy rozmawiamy, że była kiedyś taka piosenka Skaldów o listonoszu: „Ludzie, zejździe z drogi, bo listonosz jedzie! Hamuj, bo rower ten każdy tutaj dobrze zna”, Krzysztof Szykowski śmieje się, dodając, że ten utwór pokazuje szacunek do tego zawodu w społeczeństwie.

Szacunek i awiza niezgody

Właśnie przez ten szacunek kocha tę profesję. Wdzięczność ludzka, zwłaszcza ta spontaniczna, dodaje mu skrzydeł. – Żona żartuje ze mnie, że jestem lokalnym celebrytą, jak idę chodnikiem, trudno przejść, tylu ludzi się mi kłania. Na wsiach w tym roku był urodzaj na owoce, więc ciągle mnie pytano, czy nie chcę jabłek. Odmówić głupio, nazwoziłem tyle, że żona miesiąc robiła przetwory. Największe wyróżnienie spotkało mnie ostatnio – dzieci z małej wsi pod Chełmą upatrzyły mnie sobie na Mikołaja i pojechałem 6 grudnia pełnić te zaszczytne obowiązki. Kiedyś, gdy emerytury były wypłacane w gotówce, można było i drugą pensję zebrać w napiwkach, ale to przeszłość. Trzeba jednak się wstuchiwać w potrzeby ludzi, żeby taki szacunek do siebie i zawodu budować. Jeżdżę ze słuchawkami od telefonu na uszach, każdy może do mnie zadzwonić i przedstawić swój

problem, np. podać kod paczki, który wbiję do tabletu i przesyłkę zostawię we wskazanym przez klienta miejscu. Po co ktoś ma na pocztę ganiać i stać w kolejkach? Trzeba być człowiekiem. Wszyscy wiedzą, że na Krzyśku można polegać.

Na Eugeniusza starsi ludzie mieszkający w osadach daleko od szosy doczekać się nie mogą. – Raz dostałem pudełko pierogów z kapustą od staruszki gdzieś na końcu świata, smacznych, że palce lizać, całą drogę jadłem. Jeździłem też do dziadka, co głęboko w puszczy mieszkał i dożył 97 lat. Jak on się cieszył, jak czekał na mój przyjazd, jak mnie gościł! I jak opowiadał ciekawie, mógłby słuchowiska w radiu prowadzić, wojnę pamiętał. Ludzie na wioskach, choć emerytury rolnicze mają niewielkie, są serdeczni – albo częstują tym, co pod ręką, albo starają się jakiś pieniążek nawet niewielki wcisnąć, czasem 2 zł, czasem piętaś. Gdy krępuje się wziąć, bo widzę, jaka bieda wokół, jest im przykro, więc ulegam. A usta im się nie zamykają, całe życie opisują, choroby, kłęski; ja z nogi na nogę przestępuję, do drzwi się wycofuję, a oni wciąż mówią i mówią, tak bardzo są samotni, ściana wschodnia wymiera.

Polska wieś się zmienia, a „nowi” z miast, którzy na niej się osiedlają, już tacy wylewni nie są, przenoszą miejskie nawyki. Listonosze opowiadają, że napływowi zadzierają nosa, kryją się za domofonami, monitoringami i nieraz są roszczeniowi, np. twierdzą, że w domu byli, a listonosz zostawił awizo. Gdy przegapią termin odebrania przesyłki, rzadko się przyznają, a całą winą obarczają listonosza. – Trafił mi się klient nowobogacki, który 300 m od domu ustawił szlaban, a ja za tym szlabanem miałem stać, czekać na niego i trąbić – opowiada Jan, listonosz wiejsko-miejski z północnej Polski.

Eugeniusz przyznaje, że za zaufanych klientów sam podpisuje polecone i wrzuca je im do skrzynki. – Gdybym do każdego za podpisem latał, tobym z rejonu zjechał o północy. Po co taka kobiecina ma się tłuc na pocztę po polecony? I czym dojedzie, kiedy autobusy nie chodzą? Kiedyś było odwrotnie – poleconych

mało, a kartek były stosy przed świętami. I paczek było mniej niż teraz, nie wspominając o reklamach, które nas zalewają.

– Mam kolegę w Anglii, tam nawet przesyłki z ważnych urzędów przychodzą listem zwykłym – dodaje Krzysztof Szykowski, który przed świętami robi dwa kursy dziennie z paczkami.

Gdy pytam Jana, gdzie bardziej czuje się szanowany, odpowiada: – Zdecydowanie większy szacunek jest jeszcze na wsiach, ale i tam pomalutku się zatracza.

Listonosz jak domokrązca

W jednym z urzędów pocztowych w Chojnicach jestem świadkiem zabawnej sytuacji. Wchodzi mężczyzna i rozgląda się zdezorientowany po wnętrzu zastawionym książkami, słodyczami, upominkami. W końcu pyta, czy może tu wysłać list. – Tak, jest pan na pocztę – śmieją się urzędnicy i pytają z przekąsem: – A co, wiele się zmieniło? Chyba pan dawno u nas nie był?

Wielu listonoszy, z którymi rozmawiam, uważa, że handel w urzędach pocztowych jest nieprofesjonalny i przynosi więcej strat niż zysków, do tego zdarzają się kradzieże, na czym traci firma.

– Asortyment towarów jest poza tym źle dobrany do mojego klienta – tłumaczy Eugeniusz. – Po co babci w puszczy długopis w barwach narodowych po 6 zł, kiedy za te pieniądze można kupić trzy zwykłe? Po co jej czekoladki z wyższej półki, kiedy ona soli nie ma, bo sklep obwoźny nie przyjechał? Czy taka staruszka kupi książkę o tematyce patriotycznej za 30 zł albo dwa ręczniki pięknie zapakowane w pudełku za 60 zł lub dwie baterie po 16 zł, kiedy ona każdą złotówkę dwa razy ogląda, bo na życie i leki jej nie starcza? Jak mam wciskać ludziom taki towar, jak mam im w oczy spojrzeć?

Jan bierze produkty tylko dla świętego spokoju, żeby kierownik się nie czepiał. – Gdy dwadzieścia parę lat temu przyjmowałem się do pracy, chciałem być listonoszem Poczty Polskiej, urzędnikiem państwowym, a nie domokrązczą. Miałem rozwozić



Krzysztof Szykowski, listonosz z Chełmży, pracuje od 43 lat.

listy, przesyłki, paczki i w ten sposób służyć ludziom, a nie handlować. Nie mam natury handlowca. Nasza firma jest fatalnie zarządzana, dopóki będzie spółką skarbu państwa, tworem politycznym, a nie biznesowym, nic się nie zmienia, nieważne, jaka opcja jest aktualnie u władzy. Mówię to z całym przekonaniem, gdyż znam chłopaków z firm kurierskich i mam porównanie. Na poczcie trzyma mnie jedynie sentyment.

Jan tak jak Eugeniusz prosi o anonimowość. – W firmie jest zasada, że pracownik na kontakt z dziennikarzem musi mieć zgodę dyrekcji PP. To jeden ze sposobów zastraszania – dorzuca.

Bez przyszłości

Tak sytuację w spółce na początku listopada br. opisywała „Polityka”: „Już trzeci raz w ciągu ostatnich

siedmiu lat Poczta Polska podniosła ceny swoich usług powszechnych (...). Jeszcze kilka miesięcy temu PP chwaliła się, że firmie udało się osiągnąć historyczny zysk – ponad 177 mln zł netto. Jak podkreślano, był to najlepszy wynik od prawie dekady. Dla zarządu i kierownictwa poszły sowite premie, których wysokość oburzyła słabo opłacaną załogę. Czar sukcesu prysł, kiedy okazało się, że w tym czasie PP dostała od Ministerstwa Aktywów Państwowych dokapitalizowanie w wysokości 190 mln, będące pierwszą transzą pakietu pomocowego opiewającego na łączną kwotę 760 mln zł”.

Krzysztof Szykowski: – Gdy podejmowałem pracę listonosza w 1980 r., nie byliśmy grupą zawodową z najniższą krajową, na poczcie zarabiał się dobrze, jak na ówczesne warunki, lokowaliśmy się gdzieś pośrodku budżetówki, to też budowało autorytet

naszego zawodu i firmy, a teraz jesteśmy najniżej w jej hierarchii.

Jan, który do pracy przyszedł w 1995 r., dodaje, że zarobki listonoszy były wtedy wyższe od nauczycielskich. – W 2006 r. pensje zamrożono i od tego czasu wyrównuje się nam tylko do najniższej krajowej – mówi i poważnie się zastanawia, czy nie odejść z zawodu. – Mam już coraz mniej sił, żeby dorabiać, a ostatnio w warsztacie za polakierowanie jednego boku auta zapłaciłem 2500 zł, niemal całą moją pocztową pensję. Zresztą zawód listonosza jest bez przyszłości, zniknie z biegiem czasu w naturalny sposób, przez rozwój nowych technologii, np. e-przesyłek.

Krzysztof Szykowski, choć nad wieloma rzeczami w firmie ubolewa, zapewnia, że zawsze stara się dbać o jej dobre imię i tego szacunku dla poczty i zawodu listonosza uczy młodych. – Jest nas w zespole w Chełmży 17 i staramy się eliminować osoby nieuczciwe – podkreśla. Na emeryturę ma plan, skończył ostatnio kurs latarnika i będzie wdrażał seniorów do nowych technologii oraz podróżował.

Eugeniusz z łezką w oku wspomina dawne lata, gdy po objechaniu rejonu i wypłacie w kasie poczty, siadali z kolegami, gawędzili, racząc się czymś dla kurażu. – To był piękny czas, cały sens i radość tej pracy oddawał, a teraz smutno, koledzy się wykruszyli, pozwalniali, pensja idzie na konto, trzeba sprawdzić e-paski, a ja mam telefon z kłapką, bez internetu, i jakoś nie mogę dorobić się nowego. Ciągłe są ważniejsze wydatki, a to węgiel trzeba kupić, a to nawozy, a one drożeją. Lecz choć narzekam, nie wyobrażam sobie życia bez poczty. Nawet po ciężkim wypadku nie mogłem się doczekać powrotu do firmy. Bycie listonoszem buduje moją psychikę, ludzie, którym służę, wspierają mnie, a ja ich, choć rejon został porobiony duży i jest mniej czasu, żeby z nimi siedzieć.

Według informacji rzeczownika Poczty Polskiej w październiku br. pracowało w spółce ok. 22 tys. listonoszy.

Eugeniusz nawet podczas rozmowy ze mną nie marnuje czasu, kręci w maszynce kiełbasy na prawosławne Boże Narodzenie.

Helena Leman

Żywot wydawcy niepospolitego

Nie czekam, aż przyjdą i przyniosą


WIESŁAW UCHAŃSKI

Rozmawia Robert Walenciak

Rozmawiamy w Iskrach, w pięknym otoczeniu. Zabytkowe meble, rzeźby, gabloty z eksponatami, na ścianach obrazy, jeden przy drugim. Skąd się wzięły?

– Gdy moi goście pytają mnie o dzieła sztuki, odpowiadam z największą szczerością, że ja nie gromadzę dzieł sztuki, ja gromadzę pamięć. Każda z tych rzeczy jest związana z moją działalnością jako wydawcy lub z moim życiem. Nie ma tu dzieł, które są zupełnie obojętne.

Kisielewski... widzę.

– To są z kolei portrety bliskich mi ludzi. Stefan Kisielewski, Tadeusz Konwicki – z tyłu jego kot Iwan, Marek Nowakowski, a tutaj obok Janusz Głowacki. Janusz Głowacki, który przypatrywał się, jak je wieszałem,

i wiedział, że mam jego portret, powiedział: „Słuchaj, nie wieszaj mnie koło tych umrzyków”. Powiesiłem go trochę obok. Jest też wśród odeszłych. Te wszystkie portrety malowała Biruta Markuza. Jest Litwinką, skończyła Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie i była scenografką w filmach Tadeusza Konwickiego. I przez Tadeusza do mnie trafiła.

To autorzy, których pan drukował.

– To są moi autorzy. Ale nie tylko moi. Z kolei tam, na drugiej ścianie, są portrety, które namalował dla mnie Szymon Kobyliński. Na przełomie wieku jeździłem do niego na

daczę, wiozłem mu papier, on rysował. Te pięć portretów. To były najważniejsze dla mnie postacie w owym czasie – Tadeusz Boy-Żeleński, Franc Fiszer, Jerzy Waldorff, Marian Brandys i Stefan Kisielewski.

Książki mają swoje losy

Erudyci, birbanci, wielkie osobowości i wielkie pióra. Franc Fiszer – czyli wszystkich znasz, Brandys i Waldorff – czyli wszystko wiesz, Boy i Kisielewski – potrafisz celnie i błyskotliwie napisać. Marzenie wydawcy?

Wiesław Uchański – rocznik 1947. Ukończył technikum mechaniczno-elektryczne, prawo i filozofię, doktor nauk politycznych. Od roku 1981 pracownik KC PZPR, jako sekretarz osobisty najpierw Mariana Orzechowskiego, a następnie Tadeusza Porębskiego. Od 1987 r. w Wydawnictwie Iskry.

– Są dwie szkoły wydawania książek. Jedna mówi: czekaj, aż przyjdą i przyniosą. Co wymaga mniej fatygi, jak każde czekanie, i wcale nie musi oznaczać, że nie będziesz miał szczęścia i nie trafisz. Ale jest także pewien rodzaj aktywizmu wydawniczego, który polega na tym, że wymyślasz sobie książki i szukasz dla nich autorów. Tak było z wieloma książkami Iskier. Na przykład przez kilka lat chodziłem i szukałem kogoś, kto napisze nieobecną w polskiej literaturze biografię Tadeusza Dołęgi-Mostowicza. Jednego z najbardziej czytanych polskich pisarzy, i przed wojną, i po wojnie, postaci legendarnej. Długo szukałem autora, rozmawiałem z wieloma ludźmi. Wreszcie znalazłem i z sukcesem tę biografię wydałem. I tak jest z wieloma książkami, przychodzi mi do głowy pomysł i zaczynam szukać do niego wykonawców. Ale czasem jest tak jak z „Dziennikami” Mieczysława Rakowskiego. Zналиśmy się i to on przyszedł do mnie. To był chyba rok 1996. Już było po wydaniu przez nas dzienników Stefana Kisielewskiego i ich wielkim powodzeniu. Przyszedł do mnie Rakowski i powiedział: „Całe życie pisałem, mam rozmaite zapiski, czy robimy coś z tego, czy nie robimy?”. Szybko to podchwyciłem. **Wyszło dziesięć tomów „Dzienników”.**

– Co mi napisał w dedykacji: „Wiesławowi Uchańskiemu, wydawcy, dobremu duchowi mojej jako-takiej twórczości, osobnikowi, który wie, co to jest radość życia, towarzyszowi wędrowni po tym świecie, z którym chciałbym się spotkać w zaświatach”. I to ma pewnie! To mu obiecuję! *Habent sua fata libelli* – łacińska sentencja. Książki mają swoje losy. I bardzo rzadko jest tak, że ktoś przychodzi, przynosi gotowca, kładzie na biurku i mówi: masz. A jeżeli zdarza się, to niestety często nie jest to książka, która może budzić większe zainteresowanie. Rynek może jej nie chcieć.

Rynek, rynek... Przecież to się zmienia! Dziś kilka tysięcy sprzedazy to dobra sprzedaż, a pamiętam nakłady po 100 tys.

– 100? Mój największy nakład to było 400 tys.! Tę książkę dziś mało

kto by przeczytał. Nazywało się to „Dzieci Arbatu”. I były po nią wielkie kolejki! To było jeszcze u schyłku ancien régime’u, rok 1988. Myśmy wydali tego 200 tys. A potem, z braku papieru, natychmiast weszliśmy w koedycję z wydawnictwem w Towarzystwie Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Bo oni mieli papier! Wydaliśmy drugie 200 tys. i też się sprzedawało błyskawicznie. A ciekawostką jest to, że były cztery tomy. Drugiego tomu sprzedawało się 100 tys. egzemplarzy, trzeciego – 30 tys. A czwartego – ledwo – 10 tys. Ten sam bohater tak tracił zainteresowanie publicznością.

A jak wygląda sprzedaż teraz?

– Nakłady rzędu 3 tys. uchodzą, z mojego punktu widzenia, za satysfakcjonujące. Dla wielkich firm nakład 3 tys. byłby trudno satysfakcjonujący albo musiałby mieć ogromną cenę. Nam wystarcza, bo koszty

Wydałem mnóstwo biografii, od Kaliny Jędrusik do Tadeusza Dołęgi-Mostowicza. I żadna, jak sądzę, nie przekroczyła bariery przyzwoitości.

funkcjonowania Iskier są niskie. Dziś z cenami jest katastrofa – nie jesteś w stanie przewidzieć ceny książki, bo nie jesteś w stanie przewidzieć ceny papieru i usług. Możesz być pewien tylko jednego – że ani jedno, ani drugie nie potanieje.

Świat wielu pokus

Co się zmieniło w społeczeństwie, że kiedyś sprzedawało się książek tak dużo, a teraz tak mało?

– To jest rewolucja cywilizacyjna. Po pierwsze, zmienił się nasz styl życia. W latach 80. czy wcześniejszych nakłady 400 tys. egzemplarzy nie dziwiły. Ale jakie to były czasy! Nie było komputerów, telefonów komórkowych, internetu. Były dwa programy telewizyjne. Doba ciągle miała 24 godziny, tak jak teraz. Ale panował inny styl pracy, który nie był nadmiernie wyczerpujący. A nawet, można powiedzieć, było tak nudno, że nie było co robić, więc czytało się książki. Prasa? Jak mieliśmy do czynienia z „Trybuną Ludu” i z „Życiem Warszawy”, i – mówię ogólnie – paroma

tygodnikami, to co robić? Było radio, już wtedy z trzema programami, dobrymi, ale nie każdy był radiowy. A teraz ma się ciągle coś innego do wyboru. Pojawiają się różne atrakcyjne formy uczestnictwa w kulturze.

Nadmiar nie wyszedł nam na dobre?

– Jest inaczej. Za tamtych czasów rozmowy o książkach były stałym elementem konwersacji towarzyskiej. Na spotkaniach koleżeńskich, nawet bibkach studenckich, rozmawiało się o książkach. Teraz rozmawia się głównie o serialach telewizyjnych. A dyskusja o książkach? Nie bardzo. Mam zresztą wrażenie, że badania czytelnictwa w Polsce, z których wynika, że 40% Polaków czyta książki, są zbyt optymistyczne. Z moich rozmów, z przyjaciółmi, ze znajomymi, nawet z tymi, którzy uchodzą za czytających bardzo dużo, wynika...

Co wynika?

– One wyglądają coraz częściej tak: wiesz, nie czytałem i w ogóle... Bardzo niewielu wielkich pisarzy przyznaje się do czytania konkurencji. Niektórzy wręcz o tym mówili. Tadeusz Konwicki mówił: „Nie czytam prozy i w ogóle nie czytam”. Paweł Hertz z natury nie czytał literatury współczesnej. Nie wiem nawet, czy mogę to powiedzieć – parę dni temu Wiesław Myśliwski mi powiedział: „Nie czytam nowej prozy polskiej”. Jak zauważam, rodzi się moda na nieczytanie.

Jak wobec tego swoje miejsce w takim świecie znajduje wydawca książek?

– Jako człowiek powyżej 75 lat czuję się jak formacja schyłkowa. Ja to robię, bo nic innego nie potrafię. Myślę, że książka jako przedmiot papierowy w nieodległej przyszłości będzie przejawem postawy konserwatywnej. Że czytelnictwo przesunie się w stronę e-booków. To się wiąże z procesem edukacji. Jeżeli ten proces już od podstawówki jest komputerowy, to później trudno będzie ▶

- ▶ namówić kogoś do czytania w wersji papierowej.

A Iskry co na to?

– To, czym się zajmuję, to obszar polski. Nie wydaję prozy literackiej. Z wyjątkiem Marka Hłaski. Mam prawa do spuścizny piśmienniczej Hłaski i to jest pewien wyjątek. A tak od wielu lat wydajemy wyłącznie literaturę non-fiction, czyli dzienniki, monografie historyczne, biografie. **Naturalny namysł nad życiem i nad Polską.**

– To jest to, co mnie najbardziej interesuje. Być może dlatego, że sam najlepiej w tym się czuję. Że innych obszarów tak dobrze nie znam.

Goście wychodzili o czwartej rano

Mamy w Polsce brutalny rozłam. Jest jedna i druga grupa, dwa plemiona, bezwzględnie się traktujące. A pan próbuje wyjść poza ten podział.

– Zawsze w Iskrah wychodziłem. O tym nawet napisał w jednym z felietonów Smecz, czyli Tomasz Jastrun. Bo zaprosiłem go na spotkanie, które odbywało się w Iskrah, ludzi z różnych stron barykady. I zobaczył... Józek Oleksy, mój kolega ze studiów Roman Szeremietiew, Stefan Bratkowski, Mietek Rakowski, Marek Goliszewski, szef Business Centre Club, Jerzy Kisielewski, Olek Hall... Ludzie przychodzą, piją ze sobą wódkę lub wino i rozmawiają.

Spędzałem ze Stefanem Kisielewskim wiele godzin, w sposób wyłącznie towarzyski, obchodząc wszystkie możliwe knajpy.

I Olek Hall mówi do Józka Oleksego: „Niestety, wygracie”. To było przed wyborami. Takich spotkań było kilka, potem ich poniechałem. Nie dlatego, żebym uważał, że były bezsensowne czy niemożliwe. Choć potem na pewno byłyby trudniejsze.

Bo agresja zaczęła przekraczać dopuszczalny poziom.

– Pamiętam taką historię, dotyczy nieżyjącego Tomka Wołka. Mieliśmy dobre relacje, coś dla mnie pisał, uzupełniał „Abecadło Kisiela”, które wydawaliśmy. Tomek Wołek w pewnym momencie zaangażował się w walkę z Aleksandrem



Kwaśniewskim. Moi koledzy ze strony partyjnej pytali mnie: jak ty możesz podawać mu rękę? Potem Tomek przeszedł zmianę itd. To były tego typu relacje. Ale główną przyczyną, dla której przestałem te spotkania organizować, było to, że stały się zbyt męczące. Moi goście wychodzili częstokroć o czwartej rano, zostawałem z tym bałaganem,

Stefanowi Kisielewskiemu pan nie odmawiał, drukował pan jego „Dzienniki”, przyjaźniliście się. Od 1988 r.

– Mam wrażenie, że Kisielewski przyjaźń ze mną traktował jako przejaw swojego ekscentryzmu. A myśmy naprawdę spędzali ze sobą wiele godzin, w sposób wyłącznie towarzyski, obchodząc wszystkie możliwe knajpy. On mnie przedstawiał, uchodziłem za jego bliskiego przyjaciela. Traktował to jako przejaw własnej niezależności.

Zaprzysiężam się z autorami

A skąd się wzięli inni autorzy? Karol Modzelewski?

– Karol chyba pojawił się w Iskrah z rekomendacji Basi Petrozolin-Skowrońskiej. To mama Krzysztofa Skowrońskiego, pracownica PWN, która była z nami zaprzyjaźniona i której wydałem książkę, biografię Tytusa Chałubińskiego. Kiedy Karol zastanawiał się nad wydaniem „Barbarzyńskiej Europy”, a to była książka mediewistyczna, Basia odpowiedziała. A ja wydawałem różne dziwne rzeczy, więc czemu nie to? Wtedy rozpoznałem



– Nie gromadzę dzieł sztuki, ja gromadzę pamięć – mówi Wiesław Uchański. Nż. w siedzibie Wydawnictwa Iskry.

Każda z tych rzeczy jest związana z moją działalnością jako wydawcy lub z moim życiem.



Małgosię Goetz, jego żonę, którą pamiętałem z czasów wrocławskich. A kiedy zaczęliśmy pracować nad pierwszą książką, byliśmy już w takich relacjach, że było naturalne, że wszystkie następne pojawią się w Iskrah.

Czemu mnie to nie dziwi?

– Tak to już jest, że zaprzyjaźniam się ze swoimi autorami, z Aleksandrem Krawczukiem, Wiktorem Osiatyńskim, Ludwikiem Stommą, Januszem Tazbirem, Mariuszem Urbankiem i ze wspaniałym Józefem Henem. Że tylko tych wspomnę.

W latach 80. inteligent był przeciwko władzy. A teraz?

– Teraz polityczność zdominowała życie. Ale dla mnie jest bez znaczenia. Gdybym miał wyliczyć krąg

swoich znajomych, to są oni zarówno z jednej, jak i z drugiej strony. Także gdybym miał wymieniać tych, z którymi wiąże nadzieje książkowe. Mówiąc wprost, którym wydałbym książkę. Na przykład bardzo chętnie wydałbym dzienniki Jarosława Kaczyńskiego. Gdyby istniały. Akurat znałem mamę obu braci, znałem Lecha Kaczyńskiego i z ciekawością bym przeczytał takie dzienniki. Myślę, że dobrze by się sprzedały.

Skąd pan znał mamę Kaczyńskich?

– Mama pracowała w Instytucie Badań Literackich. A ja wydawałem iluś ludzi z IBL, Barbarę Winklową,

wspomnienia, dzienniki... i gdyby z tym do mnie przyszedł, najprawdopodobniej bym to wydał. I nie miałbym żadnych skrupułów, nie widziałbym powodów, żeby je mieć!

Piękny kraj, a ludzie...

Odnoszę wrażenie, że autorów Iskier traktuje pan też jako element kultury polskiej.

– Nie tylko kultury, ale także historii. Może nawet bardziej historii niż kultury. Proszę spojrzeć, to są oryginalne dzienniki Stefana Kisielewskiego. Jakimi kulfonami pisał!

która pisała o Boyu, Romana Lotha, Ewę Głębićką, Tomka Burka... A ona przychodziła na promocje tych książek. Kiedyś zapytała: „Panie Wiesławie, który pan jest rocznik?”. Ja mówię: „1947”. A ona: „Mój Boże, to pan jest starszy od moich synków, a oni tak poważnie od pana wyglądają”.

Moich synków...

– Tak mówiła. Ich związek był rzeczywiście bardzo silny.

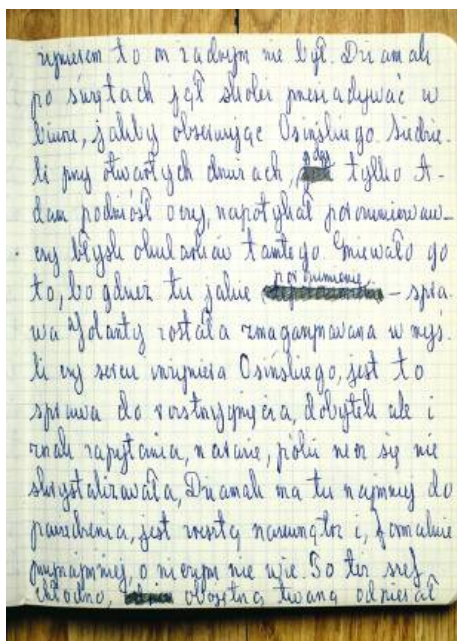
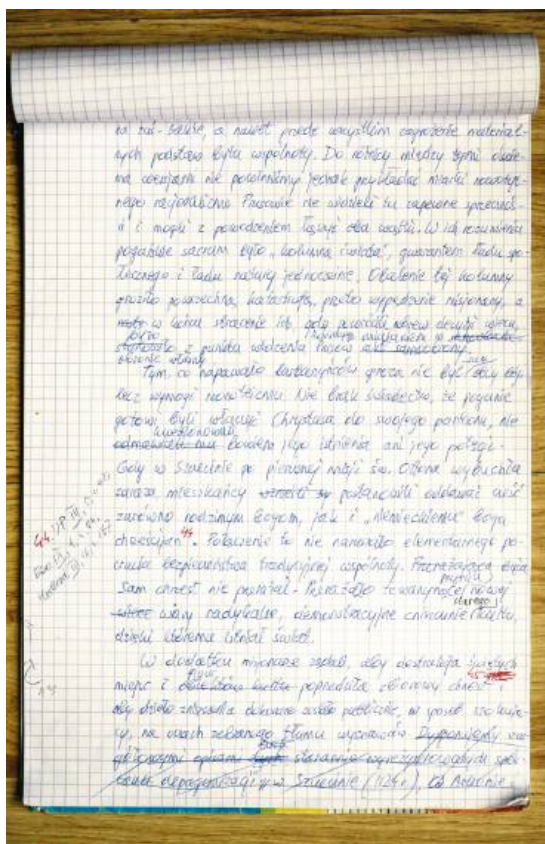
Czyli nie ma barier przed wydaniem książki?

– A myśli pan, że są? Proszę wskazać autora, który uchodzi za człowieka prawicy. W literaturze pięknej, tej liczącej się, tego nie ma. Wildstein pisze powieści, to odłożymy na bok, ale gdyby napisał jakąś rzecz typu

A dlaczego? Bo Stefan bardzo często pisał na bani. Wracał z knajp i wylewał żale. A to jest rękopis Karola Modzelewskiego. To jest „Barbarzyńska Europa”. Karol pisał ją ręcznie.

Rękopis ma w sobie coś intymnego. Jakby zaglądało się autorowi przez ramię.

– Wydałem mnóstwo biografii, od Kaliny Jędrusik do Tadeusza Dołęgi-Mostowicza... I żadna z nich, jak sądzę, nie przekroczyła bariery przyzwyczajenia. Bo oczywiście można się nurzać w obscenach itd. Ale to nie jest konieczne, żeby napisać prawdę o człowieku i o epoce. Bardzo mnie również obchodzą pytania egzystencjalne. Lubilem np. wydawać książki Tadeusza Gadacza. To ciekawa rzecz, jak wchodzisz w zażyłość ▶



Oryginalne dzienniki
Stefana Kisielewskiego.

Rękopis „Barbarzyńskiej
Europy” Karola Modzelew-
skiego.

z autorami, w bliską zażyłość. Na fotelu, na którym pan siedzi, siedał często Karol Modzelewski. Myśmy rozmawiali o wszystkim. Karol wbrew pozorom wcale nie był wojującym ateistą. Poglądy autorów – to mnie bardzo obchodzi! Byłbym nawet gotów na ten temat wydać książkę – jak oni widzą sens życia. Ja wiem, że szkolnie to brzmi. Ale te pytania są prawdziwe. Taką rozmowę, długą, miałem też z Wojciechem Jazurkowskim. Także z innymi ważnymi osobami. Mógłbym powiedzieć tak: u wielu z nich niewiara była słaba. **Z jednej strony, są ludzie lewicy, z drugiej – ludzie prawicy, obserwuje pan, jak walczą między sobą. I...**

– Myślę, że często nie walczą o idee, tylko o własną pozycję. Ponieważ to jest trochę skrót myślowy – przekonanie, że ludźmi kierują wyłącznie pobudki ideowe. Na wszystko nakłada się kilka rzeczy: pewna ideowość, osobiste losy, oczekiwania, gotowość na kompromisy, kultura osobista. Oto moje pytanie: co mógłby robić dzisiaj i co będzie robił polityk, jak wypadnie z polityki?

Myśli, że pójdzie do biznesu.

– Sądzę, że jest inaczej. On wie, że gdy wypadnie z polityki, może nie dać sobie rady, nie będzie wiedział, co robić. W związku z tym walka dla niego jest, z jednej strony, ideowa, bo zakładam, że wierzy w to, co robi, a z drugiej – osobista. To są te dwie motywacje.

Mówi pan to na podstawie własnych obserwacji?

– Przecież pracowałem w tym KC i przyglądałem się, ilu tam było tzw. szczerych komunistów! Strach było tego słowa używać! Mówiono co najwyżej: umiarkowany socjalista. A ilu było takich, co tylko dla kariery? Zresztą karierowicze są w każdej partii, i w PZPR, i w PiS, i w PO. Najbardziej z nimi jest w małych partiach, bo mają tam małe nadzieje, że się nachapia. Za to w dużych partiach myślą, że coś dostaną. Spójrzmy na tych ludzi z PO. Zakładam, że mają czyste intencje, ale są wygłodzeni,

bez posad. Dla nich zwycięstwo wyborcze to nie tylko odsunięcie PiS, ale i sprawa ich osobistego życia. Bo trzeba mieć na dzieci, na wnuki, życie jest drogie. A on pracuje za psie pieniądze, mimo że mógłby pracować za lepsze, jako prezes któregoś ze spółek albo członek zarządu. W tym sensie losy osobiste są tak samo ważne dla tych ludzi jak każde inne. Z kolei ci z PiS boją się, że wszystko stracą.

Jaka Polska wyłania się z tych książek, które przez tyle lat pan wydał?

– Najbanalniejsze słowo, jakie mi przychodzi do głowy: jest piękna.

Podziałów, o których wciąż mówimy, bym nie dramatyzował. Bo nie można bardzo szybko nauczyć się życia w demokracji. To wymaga czasu. Oczywiście trzeba pilnować, żeby się nie pojawiły w tym wszystkim silne nurty antydemokratyczne, ale... Ścieranie się poglądów, złożonych interesów to rzecz naturalna. I mnie to, prawdę powiedziawszy, nie niepokoi.

Sporo w panu optymizmu.

– Polska jest dynamiczna i zdolna do wielkich czynów. Ale także – co pokazują ostatnie lata – zdolna do pracy. Przecież gospodarki i siły Polski nie tworzy PiS samo z siebie, to załuga tych ciężko pracujących od rana do wieczora. I dawno to już nie jest geszefciarskie, to jest poważne budowanie siły ekonomicznej. Potrafimy to robić! To, co kiedyś było postulatem pozytywistów popowstańcowych – teraz się materializuje. Ludzie już wiedzą. Martwię się tylko, czy przetrzymają kolejne kryzysy. I nie umiem odpowiedzieć na pytanie, na ile te kryzysy są zawinione przez partię rządzącą, a na ile przez sytuację ogólną. Ale to jest piękny kraj. I piękni ludzie! Naprawdę tak uważam.

Robert Walenciak

W następnym numerze druga część rozmowy z Wiesławem Uchańskim:
KC PZPR od środka • 13 grudnia 1981 r. w Białym Domu • Jak komuch zaprzysiążnił się
z pisarzami z opozycji • Alkohol pomaga • O co pytał Stefan Kisielewski?



Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Książka na Gwiazdkę

Ta książka rzeczywiście kojarzy mi się ze świętami z paru ostatnich lat; dwa jej tomy – z trzech dotąd wydanych – czytałem w tym właśnie okresie. Już za pierwszym razem zdumiał mnie tyleż tytuł, „Dzieje kultury europejskiej. Prehistoria, starożytność”, co i zapowiedź ukazania się kolejnych tomów: aż do Oświecenia (potem już do XIX w.). Jednak największe zdumienie wywołało autorstwo. Bo tego typu przedsięwzięcia są zwykle zespołowe, a tu autor był jeden: Wojciech Lipoński.

Starsze pokolenia pamiętają go jako sportowca lekkoatletę: uczestnika sztafet z Andrzejem Badeńskim, członka polskiej reprezentacji na olimpiadzie w Tokio. Dziś Lipoński jest emerytowanym profesorem anglistyki na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza, ale jego zainteresowania daleko wykraczają poza własną dyscyplinę. W jego dorobku znajdują się książki z zakresu szeroko pojętej historii: dotyczą dziejów sportu polskiego i światowego czy historii Wielkiej Brytanii, ukoronowane w tym przypadku monumentalnymi „Dziejami kultury brytyjskiej”. Można więc było się zgodzić, że do napisania nowego opus magnum ma Lipoński wyjątkowe predyspozycje, choć można też było wątpić, czy będzie w stanie objąć całość opracowywanego zjawiska. Ale musiało się mieć pewność, że taka praca przekracza możliwości jednego człowieka.

A jednak powstała! A raczej powstaje, rodzi się na naszych oczach, liczy już prawie 2 tys. stron, prawdziwy ewenement w nauce światowej! Oczywiście mogą się pojawić zarzuty. I mniejsza o kwestie szczegółowe – złośliwy zoil może je wychwycić zawsze. Ale zarzuty dyletantyzmu bądź kompilacji też nie będą poważne. Bo któż nie byłby w tej materii dyletantem?! I kto potrafiłby prowadzić samodzielne badania nad zagadnieniami rozpiętymi tak szeroko: w czasie, przestrzeni, mozaice różnych dyscyplin? Aby taka synteza mogła powstać, kompilacja, a więc i pewien rodzaj dyletantyzmu były niezbędne – nikt nie zna się na wszystkim. To może jednak zespół badawczy? Lecz musiałby on liczyć setki osób, specjalistów z rozmaitych dyscyplin i rozmaitych okresów. Kto byłby w stanie nad tym zapanować? I jaki byłby efekt takiej pracy?

Jeżeli, jako Europejczycy, zastrzyżyliśmy sobie na przedstawienie dziejów naszej kultury, to prof. Lipoński podjął się wykonać misję. I tu – jako antyteza kompilacji – lśni pełnym blaskiem jego oryginalność. Po pierwsze bowiem: będąc odległy od badań szczegółowych, jest

Lipoński wolny od uprzywilejowywania jakiejkolwiek dziedziny – jego dzieło pozostaje zrównoważone i harmonijne. Po drugie: dzieje kultury europejskiej rozpoczynają się tu od cywilizacji wcale nie europejskiej, lecz azjatyckiej – powstającej tysiące lat temu w Mezopotamii. Bo tam w istocie wszystko się zaczęło, począwszy od miar czasu, na mitach uwiecznionych w Biblii skończywszy. Po trzecie: udaje się Lipońskiemu utrzymać równowagę między – mówiąc umownie – Rzymem a Bizancjum. Sztuka to rzadka, bo gdy przypomnimy sobie „Europę” – wspaniałe dzieło prof. Normana Daviesa – dostrzeżemy, że dziedzictwo „drugiego Rzymu” przedstawione jest tam na planie dość odległym. Optyka Lipońskiego jest inna: ukazuje on wkład kultury bizantyńskiej w całość dziedzictwa europejskiego, wcale nie tylko Wschodu. Zazwyczaj

Dzieje kultury europejskiej rozpoczynają się u Lipońskiego od cywilizacji wcale nie europejskiej, lecz azjatyckiej – powstającej tysiące lat temu w Mezopotamii.

nie pamiętamy, że pierwszy europejski uniwersytet powstał nie w XIII w. w Bolonii, lecz jeszcze w starożytności – w IV w. w Konstantynopolu. I pod nazwą Pandidakterion istniał ponad tysiąc lat.

Podczas gdy kulturę europejską traktujemy zazwyczaj jako dorobek wielkich ośrodków, Lipoński już w pierwszym tomie swego dzieła zauważał „zdeptane i upokorzone kultury antyczne”. Temu dostrzeganiu peryferii i marginesów pozostał wierny. A przecież – wiemy to z „Barbarzyńskiej Europy” Karola Modzelewskiego – wiele zawdzięczamy nawet ludom, które u schyłku starożytności najechały i złupiły Europę, by na koniec w niej się osiedlić; tym więcej zawdzięczamy zatem różnym ich potomkom. I otóż właśnie: ukazanie w europejskim dziedzictwie obszarów spoza głównego nurtu i spoza Zachodu, ludów zarówno zwycięskich, jak i podbitych, było chyba możliwe tylko pod piórem Polaka. Wynikało z bagażu naszej historii, z doświadczeń geopolityki.

Nie wiem, kiedy się pojawią kolejne tomy „Dziejów kultury europejskiej”. Wiem, że to, co wydano dotąd, warte jest przeczytania. Dziś bowiem, bardziej może niż kiedykolwiek, trzeba znów Polakowi zanurzyć się w Europę. A na to zanurzenie przeznaczyć właśnie czas świąteczny – wolny od codziennego zgiełku.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Muszę już iść gdzie indziej

Teatr ma szansę coś zmieniać.
Nie wiem, czy każdy jest gotowy na zmiany

Rozmawia Tomasz Miłkowski

Krąży teraz pani po Polsce ze swoim nowym monodramem „Fizyka kwantowa, czyli rozmowy nigdy nieprzeprowadzone” o traumach dojrzwania, przemocy szkolnej, oschłości w rodzinie, wymuszonej, butnej męskości. Dosłownie ze „swoim monodramem”, bo przygotowanym na własne ryzyko poza teatrem instytucjonalnym.

– Robiłam to gościnnie w Komunie Warszawa.

A potem pojawiła się pani w Teatrze Powszechnym chyba z dwoma przedstawieniami.

– Nawet z trzema.

Jeśli jest się zbyt długo w jednym teatrze, zaczyna się grać dość podobne role.

Ostatnio spotkałam panią w Instytucie Teatralnym. Czyli sześć spektakli w Warszawie? To wszystko?

– Wszystko. Teatry nie są specjalnie zainteresowane. Zamierzam zwrócić się do domów kultury. Chyba to teatrom się nie opłaca, sama nie wiem, na czym to polega, w każdym razie nadal szukam dla „Fizyki” miejsca do regularnego grania.

Nie jest już pani w zespole Powszechnego na etacie. Czy to był pani wybór?

– Tak, mój. Byłam po dużym kryzysie zawodowym, poczuciu wypalenia i frustracjach oglądania spektakli. Nic mi się nie podobało w teatrze. Nie miałam nawet marzenia, co chciałabym następnego zrobić.

To była reakcja po „Kłątwie” i fali hejtu, której pani doświadczyła?

– Nie, w żadnym wypadku. Zresztą w „Kłątwie” nadal grywam. Nadal

jestem w obsadzie „Chłopów”, ale nie wiem, czy to przedstawienie będzie jeszcze grane.

Teatry teraz eksploatują swoje tytuły jak opery. Bardzo rzadko.

– To prawda. Dopiero kiedy rozpoczęłam współpracę z panią Krystyną Jandą, zobaczyłam, że w Polonii czy Och-Teatrze spektakle są naprawdę eksploatowane. Gramy często i mają one szansę się rozwijać.

Jeśli gra się raz na pół roku, za każdym razem to niemal nowa premiera.

– Ja tego nie rozumiem. Stąd moja frustracja związana z pracą na etacie. Wiele argumentów przemawiało za decyzją o rezygnacji z etatu, a podjęłam ją w czasie pandemii.

Decyzja całkiem niepraktyczna.

– Czułam, że dłużej już nie wytrzymam ani minuty. Musiałam to zrobić, a często podejmuję decyzje intuicyjnie. Doszłam do wniosku, że muszę już iść gdzie indziej, bokować się z innymi twórcami, posługiwać innym językiem. Powszechny to wspaniałe miejsce, wiele tam się nauczyłam, jestem wdzięczna za szansę, jaką mi stworzono. Paweł Łysak i Paweł Sztarbowski ściągnęli mnie z Bydgoszczy do Warszawy.

Ale po kilku latach poczułam, że stoję w miejscu i nic więcej nie zagram. Powszechny to teatr o bardzo sprezytowanym formacie.

I bardzo określonym języku.

– To język, który na dłuższą metę może być dla aktora męczący.

Stąd ten „rzut na taśmę” i wejście do obsady tzw. normalnego przedstawienia? Mam na myśli „Ożenek” w Och-Teatrze i pani rolę Agafii.

– Bardzo mi to było potrzebne. To był powrót do źródła. Od tego wszystko się zaczęło – chciałam być aktorką, bo lubię się przebierać. Tak czy owak, poetyka Powszechnego tak rozogniła moją potrzebę regularnej pracy nad rolą, odklejenia się od siebie, że skorzystałam z tej okazji z wielką ochotą. Bardzo chciałam się spotkać z Januszem Gajosem (reżyser „Ożenku” – przyp. TM), wielką legendą i autorytetem, a nigdy wcześniej nie miałam takiej sposobności. To dla mnie odskocznia, choć nie mogłabym wyłącznie takiego teatru praktykować. Mam teraz duże urozmaicenie, gram i „Kłątwe”, i „Ożenek”, i „Cząstki kobiety” w TR – i po raz pierwszy w życiu czuję, że mam taki różnorodny repertuar.

Muszę się mierzyć z różną widownią. Jeśli jest się zbyt długo w jednym teatrze, z mojego punktu widzenia zaczyna się grać dość podobne role. Obcujemy z tym samym odbiorcą, który przyzwyczaja się do nas. A to może rozleniwiać. To dla

Julia Wyszyńska – absolwentka PWST (2010), jedna z najzdolniejszych aktorek młodego pokolenia. Przez kilka lat w zespole Teatru Powszechnego w Warszawie, gdzie zaskrynęła odważną rolę w spektaklu Olivera Frlijicia „Kłątwa”, po którym spotkała się z falą wyjątkowo napastliwego hejtu. Po rezygnacji z etatu w teatrze występuje na różnych scenach, w tym nadal w „Kłątwie”. Ostatnio przygotowała własnym sumptem autorski monodram „Fizyka kwantowa”, rodzaj grupowej terapii dla rodaków.



JULIA WYSZYŃSKA
– aktorka

mnie sygnał, że czas iść dalej i spotkać się z nowym widzem, który już nie będzie tak wyrozumiały.

„Ożenek” był pani powrotem do literatury.

– Prawdę mówiąc, tylko w debiucie zetknęłam się z tzw. regularnym dramatem, „Nowym Wyzwoleniem” Witkacego.

To też nieszczęśliwie „regularny” dramat.

– Ale literatura, a nie tekst powstający podczas prób. A nie! Przypuszczam, jeszcze była „Mewa” Cechowa w reżyserii Wojtka Farugi. Potem już grałam tylko w nowej fali dramaturgii.

I od początku uprawiała pani monodram, by przypomnieć „Medeę”, spektakl nagradzany na festiwa-

Owszem, gram w spektaklach, które mniej lub bardziej mnie poruszają, ale to nie to, co mną szarpie.

lach. Widziałem go we Wrocławiu i byłem nawet trochę rozsierdzony, bo kolega, który siedział obok, postradał podczas przedstawienia okulary. Strasznie interaktywnie pani grała. Wśród widzów, z niechęcią odwagę. Nie bała się pani?

– Jasne, że się bałam. Zawsze się boję, mam ogromną treść. **Nie było wcale widać.**

– Często słyszę, że jestem odważna. Może na tym polega odwaga, że podejmuje się decyzje mimo lęku. Mogę sprawiać wrażenie odważnej, ale jestem zupełnie inna w swojej

naturze. Mierzę się z różnymi aspektami swojego cienia, z którym na co dzień nie mam kontaktu. To zawsze przerażające na scenie, może nawet wymknąć się spod kontroli. W „Medei” w tę stronę – takiej właśnie odwagi na granicy hysterii – prowadziła mnie Ewelina Marciniak. Byłam wtedy jeszcze bardzo nieświadomą aktorką, zaledwie rok po szkole. Prawdę mówiąc, ten monodram zrobiliśmy z nudów, z braku innej pracy. Najpierw to miało być tylko czytanie performatywne u Tadeusza Ślobodzianka. Ewelina zasugerowała, żebym się nauczyła tekstu na pamięć, to trochę nad tym popracujemy. Kiedy Tadeusz Ślobodzianek to zobaczył, powiedział, że to jest straszne, ale wstawił do repertuaru. Rzeczywiście temat dość trudny: kobieta w amoku, w desperacji. Kiedy niedawno fragmenty tego monodramu zobaczyłam w sieci, sama się wystraszyłam. To był bardzo wymagający spektakl, kierował mnie psychicznie. Nawet się zastanawiam, czy nie stosowałam jakiegś autoprzemocy.

Wróciła pani do monodramu, żeby powiedzieć coś od siebie?

– Ta potrzeba powrotu do niego wynika z możliwości bliskiego spotkania z widzem. Za tym tęskniłam. I za wzięciem pełnej odpowiedzialności za jakość tego spotkania. Jeśli się zaczęło z tak wysokiego C jak w „Medei”, to potem bardzo trudno

uzyskać podobną intensywność w kolejnych spektaklach. Monodram to sport ekstremalny, silna adrenalina, która przed wejściem na scenę mnie wykańcza, ale z drugiej strony uzależnia.

No dobrze, ale to jeszcze nie wyjaśnia, dlaczego sama wzięła się pani do pisania i napisała „Fizykę kwantową”.

– Czułam, że nie powstają przedstawienia, które mnie dotyczą. Owszem, gram w spektaklach, które mniej lub bardziej mnie poruszają, ale to nie to, co mną szarpie. ▶

► Zaczęłam więc sobie coś pisać i nie wiedziałam wcale, do czego mnie to doprowadzi. Po drodze pojawiało się mnóstwo wątpliwości, czy uda się nadać temu kształt sceniczny, to był bardzo skomplikowany proces.

Sięgnęła pani do źródeł teatru jednego aktora, spektaklu będącego wyrazem buntu przeciw teatrowi panującemu. Wszystko zrobiła pani sama i za własny grosz, bez wsparcia. Bardzo rzadki dzisiaj przypadek.

– Tak wyszło. Najpierw napisałam tekst i myślałam, że może wróć do współpracy z Ewelina Marciniak, ale jesteśmy już w tak innych miejscach,

Zawsze się boję, mam ogromną tremę.

że nie zdecydowałam się na wspólną pracę w tak intymnym spektaklu. Miałam obawy, że nie każdy zrozumie, o jakie jakości mi chodzi. A ja mocno czułam, co bym chciała uzyskać. Wiedziałam, że chcę się sprawdzić jako aktorka. Bałam się, że nie będę umiała tego przekazać reżyserowi. Stąd decyzja, że sama powinnam spróbować, ale jeżeli się nie uda, to zrezygnuję. To nie było całkiem nowe w mojej praktyce zawodowej – często pracowałam sama w sali prób, oswoiłam się z samodzielnym szukaniem formy, bez udziału reżysera. Postanowiłam zaufać intuicji. Pierwsze dni prób w Komunie Warszawa potwierdziły, że to bardzo ożywcze spotkanie z samą sobą. Podążałam za wewnętrznym poczuciem przyjemności.

Po spektaklach „Fizyki” spotyka się pani z publicznością. Co z tego wynika?

– Jedno ze spotkań było wyjątkowo poruszające – na festiwalu Dwa Brzegi, prowadzone przez Grażynę Torbicką, z widownią, która nie jest teatralna. Obawiałam się, że to nie zbyt dobry pomysł, ale bardzo się pomyliłam. Spotkania z widzami mają niezwykle osobisty charakter. Widzowie otwierają się, mam poczucie głębokiej intymności.

Występuje pani w stroju misia, niemal pluszowego. Czy nie za gorąco?

– Gorąco, na Campusie prawie straciłam przytomność.

Taki kostium sama pani zaplanowała. Specjalnie, żeby się męczyć?

– Nie, nie, miał być pluszowy miś, ale nie starczyło pieniędzy na welur i kupiłam materiał obiciowy. Wprawdzie w kostiumie są wentyle, ale jak przyszyły upały, trudno było przetrwać. Nie chodziło mi o to, żeby się męczyć, ważna była faktura.

Żeby było coś miłego, choć nie zawsze o miłych sprawach tu mowa. Oprócz otuliny welurowej zastosowała pani otoczkę aktorską: we wstępie słychać wymianę uwag publiczności przed spektaklem,

demaskującą teatralny charakter spotkania, które nastąpi. Potem pojawia się pani jako aktorka, która przechodzi metamorfozę w ośmioletniego Julka. Dlaczego nie w Julkę?

– Zdecydowałam się na bohatera płci męskiej z wielu powodów. Jednym było poczucie, że chłopięca rebelia może mieć większą skalę, może dlatego, że jako dziewczynka zwykle otaczałam się chłopakami i z nimi łobuzowałam – tam był żywioł. Po drugie, Julek daje poczucie odseparowania się od samej siebie. Chciałam, żeby ta opowieść sprawiała wrażenie bardzo osobistej

Może na tym polega odwaga, że podejmuję się decyzje mimo lęku.

i bardzo prywatnej, chociaż w żadnym wypadku nie jest autobiografią, a postać Julka daje mi możliwość kamuflażu – czuję się bezpieczniej, co pozwala mi na odważniejszą zabawę z widzem. A po trzecie, w potężnych zmianach społecznych, ruchu #MeToo zaniepokoiło mnie jednowymiarowe postrzeganie tematu przemocy, czyli kobiety są ofiarami, mężczyźni agresorami. A będąc kobietą, doskonale wiem, jak bardzo kobieca energia może być agresywna, niszczycielska i przemocowa. Chciałam poprzez ten zabieg pochylić się nad męskimi emocjami, które są ciągle słabo widzialne i widziane w sztuce.

A ten wstęp o teatrze?

– Chciałam nagłośnić lęki widzów w teatrze, gdy interakcja bywa bardzo intensywna. Ja tego nie znoszę. Nie lubiłam tego również w „Medei”. Nie znoszę sytuacji, w których widz jest ośmieszany, upokarzany albo czuje, że jego granice bezpieczeństwa są przekraczane. Chciałam upewnić widzów, że będąc na scenie, nie mam większych praw niż oni. Ten pierwszy fragment jest także o moich prywatnych lękach, zwłaszcza obecnych w trakcie powstawania tego spektaklu. Stąd pojawiające się na początku głosy podważające sens „Fizyki kwantowej”. Dałam je do przeczytania moim wspianiałym kolegom.

Bałam się, że to będzie spektakl hermetyczny, adresowany tylko do środowiska, tymczasem stało się inaczej. Chciałam też spotkać się z kolegami, bo bardzo bym chciała reżyserować, ale jeszcze nie mam odwagi.

Ale ma pani dość odwagi, aby z wieloma się poboksować, w tym z recenzentami.

– To ma szerszy adres, chodziło mi o łatwość „recenzowania”, którą widać w internecie, o łatwość skalowania. O recenzentów teatralnych także. Ja już w ogóle przestałam czytać recenzje. Spotykałam się z tekstami, które dotyczyły mnie personalnie, czułam się podważana nie jako aktorka, ale jako człowiek. Czasem przekraczane były granice mojej cierpliwości. Stąd ta krytyka, która przyniosła mi dużą ulgę.

To taka ciągła schizofrenia aktorów, którzy chcą być lubiani, uwielbiani, a jeśli tak nie jest, to recenzenci są źli. Chciałam też opowiedzieć, z jakimi frustracjami aktor się mierzy.

Recenzenci jedzą pani z ręki – „Fizyka” jest chwalona przez wszystkich, a więc o co chodzi?

– Pisałam to przed premierą. Nie wiedziałam, że tak będzie.

Wspomniała pani, że już nic się pani w teatrze nie podoba. Coś jednak czasem się zdarza.

– Zdarza się, pewnie przesadzam, ale nie chodzi o to, że jestem rozczarowana, bo nie jest wykonywana w teatrach rzetelna praca. To nie ten

problem. Widuję wiele dobrej pracy na scenie, ale jako widz czuję się jak za mgłą, nie potrafię się utożsamić z bohaterem. Być może to we mnie zachodzą radykalne zmiany, może gorzkniej? Ale potem oglądam filmy i się wzruszam.

Też mięwam poczucie, że choć przedstawienie jest dobre, to mnie nie dotyczy. Nic nie zmienia. Ale czy teatr musi coś zmieniać?

– Ma szansę coś zmieniać. Nie wiem, czy każdy jest gotowy na zmiany. Ja sama nie rozumiem, dlaczego jestem aktorką. Ale pytam, jaki jest cel mojego spotkania z widzem. Przecież chodzi o to, żeby mieć wpływ na doświadczenie widza. Wiem jednak, że każdy bierze z mojej pracy tyle, ile zechce. Teatr na pewno może poruszać tematy, których opinia publiczna się boi. To bardzo mnie w nim nęci. Poruszanie tematów tabu, tak jak to jest w „Kłątwie”, ale nie tylko. W innych spektaklach również szukam tematów, które są zaniebawiane.

Nie zawsze to widać na scenie, często praca idzie w dym. To mnie

frustrowało. Zapomina się nawet o rzemiośle. Miewałam poczucie zmarnowanego czasu. Siedzieliśmy na próbach i godzinami gadaliśmy, zamiast pracować. To były rozmowy, które do niczego nie prowadziły. Oczywiście każdy spektakl to ważna lekcja, choćby tego, czego już nie chciałabym robić.

Teatr może brać się do tematów, których opinia publiczna się boi.

Jako widz bardzo potrzebuję się wzruszać, potrzebuję być konfrontowana ze swoimi niepokojami, poruszana. Bardzo Kocham teatr. Uwielbiam to miejsce. Sam budynek jest dla mnie magiczny. Jak była pandemia, całymi godzinami przesiadywałam na dużej scenie Powszechnego. Chłonę to miejsce, przychodzą do mnie różne pomysły, tak właśnie przyszła do mnie „Fizyka kwantowa”. **Taki tytuł był od razu?**

– Nie, na początku była „Dezintegracja pozytywna”. Może nazbyt

dosłownie ujawniał moje intencje. I drugi człon, który pozostał: „Rozmowy nigdy nieprzeprowadzone”.

Czyli uruchomienie magazynu lęków, wspomnień, frustracji, które nie były wcześniej ujawnione. Następnym monodram za dziesięć lat?

– Może. Nie wiem. Nie jestem szczególną fanką monodramów, choć przynoszą nowe doznania, np. zupełnie inne poczucie upływu czasu. Przy tym trzeba przez godzinę udźwignąć wszystko i utrzymać uwagę widza.

Nie pytam, kiedy wraca pani do teatru zespołowego, bo to pewnie też się zdarzy.

– Pewnie tak.

Teraz szuka pani swojego miejsca?

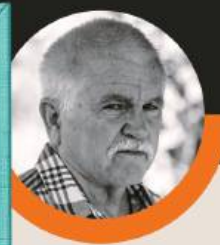
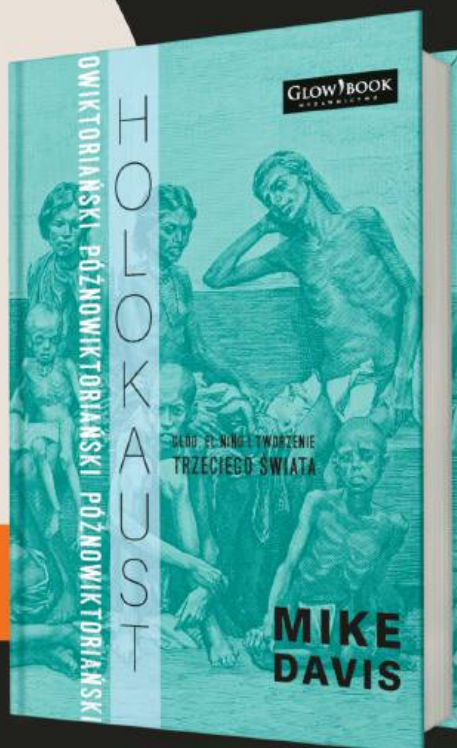
– Coś takiego się dzieje, a możliwość grania w różnych miejscach daje szansę na wgląd, jak jest w różnych zespołach, jaka atmosfera towarzyszy ich pracy. Przyglądam się temu, co będzie się działo w Teatrze Dramatycznym.

Tomasz Miłkowski

Imponująca rozmachem opowieść o narodzinach obszarów znanych dzisiaj jako Trzeci Świat, wydobywająca na światło dzienne złowieszczy związek między polityką potęg imperialnych a klęskami naturalnymi, który zrodził jedną z najokrutniejszych tragedii w dziejach ludzkości. Porażająca panorama rozciągająca się na Chiny, Indie i Brazylię, w której tragiczne działania rządów kolonialnych zderzają się z gigantycznymi klęskami głodu i suszami. Jak doniosłe konsekwencje mają decyzje podejmowane przez rządy w epoce kryzysu środowiskowego?

**Zamów książkę u nas:
WWW.GLOWBOOK.NET**

Od listopada dostępna w sieci
Empik i dobrych księgarniach.



„Książka Mike’a Davisa ma fundamentalne znaczenie w dzisiejszym świecie, to niezwykle pouczająca pozycja, która nie skupia się wyłącznie na jednym problemie”.

Amartya Sen,
„New York Times”



Samara Joy **Linger Awhile** Verve

Taki głos to skarb, aksamitny, lecz mocny, idealny do błyszczącego w jazzowej klasyce. I właśnie z tym repertuarem na nagranie swojej drugiej płyty przeszła do wytwórni Verve Samara Joy z muzycznej rodziny McLendonów (proszę tylko posłuchać, jak śpiewa z bliskimi świąteczny singiel „O Holy Night”!). Ta dwudziestoparolatka z zachwycającą swobodą przenosi nas dekady wstecz, głównie w lata 50. i 60., kiedy powstawały „Guess Who I Saw Today”, przejmująca niby-paplanina żony, która odkryła, że jest zdradzana, czy zalotna „Sweet Pumpkin”, a Ella Fitzgerald czarowała słuchaczy „Misty”. W klimat pięknie wpisują się towarzyszący Samarze muzycy: Pasquale Grasso na gitarze, David Wong na kontrabasie, Kenny Washington na perkusji i Ben Paterson na fortepianie. Bogatszą aranżację ma „Round Midnight” – ma też inny tekst, napisany przez Jona Hendricksa i znacznie rzadziej wykonywany. Słuchamy więc znajomych dźwięków, ale i odkrywamy coś nowego. A przede wszystkim poznajemy bliżej bardzo obiecującą wokalistkę.

Aleksandra Pańko

Baltic Sea Philharmonic **Tchaikovsky, Nutcracker.** **A Dramatic Symphony** Sony Classical



Wiele instytucji muzycznych i oper w obliczu okrutnej wojny w Ukrainie zrezygnowało z prezentowania dzieł rosyjskich twórców.

Objęło to nawet balet „Dziadek do orzechów” Czajkowskiego, będący tradycyjnie atrakcją dla dzieci w okresie bożonarodzeniowym. Na otarcie też Baltic Sea Philharmonic, orkiestra, w skład której wchodzi muzyka z krajów nadbałtyckich, a jej dyrygentem jest Estończyk Kristjan Järvi, nagrała utwór nieco przerobiony, ze zmienioną kolejnością tańców i z nowym tytułem – „Symfonia dramatyczna”.

Bronisław Turowski

Biały szum

reż. Noah Baumbach, prod. USA,
już w kinach, od 30 grudnia
na platformie Netflix

Noah Baumbach, reżyser „Historii małżeńskiej”, wykonuje wolę w swojej twórczości i sięga po prozę Dona DeLillo, jednego z ojców amerykańskiego postmodernizmu. „Biały szum”, największe osiągnięcie pisarza, przez lata był uznawany za literaturę nieprzekładalną.

To powieść polifoniczna o konsumpcjonizmie i dyktacie mediów, o rozkładzie rodziny i przyspieszeniu życia codziennego. Łączy się to dodatkowo z tematem globalnego terroryzmu, chaosu informacyjnego, teorii spiskowych i przeinaczania rzeczywistości przez popkulturę. Książka powstała przeszło 35 lat temu, ale jej przekaz nigdy nie wydawał się tak aktualny. Baumbach zaś potrafi przekuć go w wartką akcję, to niepodobne do niego, ale sięga po gatunkowe konwencje: horror, thriller, a nawet kino katastroficzne. Jedno pozostaje niezmiennie: na ekranie brylują współpracujący z nim od lat Adam Driver i Greta Gerwig, a reżyser swoim zwyczajem przemycia historię o rodzinnych więzach na dobre i na złe. Jedyny sensowny kierunek dla cywilizacji mierzającej się z końcem to nauczyć się kochać i zacząć doceniać wartość bliskich najlepiej, jak potrafimy – zdaje się mówić Baumbach.

Mateusz Demski



KURTYNA W GÓRĘ



Twórczy azyl

To bardzo osobisty spektakl. Nietrudno w nim usłyszeć echo bezpardonowych ataków pisowskich radnych na Bartosza i Małgorzatę Szydłowskich, którzy musieli toczyć boje o ocalenie Teatru Łaźnia Nowa i festiwalu Boska Komedia.

„Strach i nędza 2022” to opowieść o wypaleniu, o zakleszczeniu w elitarnej bańce i próbie przezwyciężenia kryzysu w czasach dla kultury trudnych. Szydłowski, aby ów stan zawieszenia odmalować, sięgnął po obraz Federica Felliniego

„Osiem i pół”, tworząc spektakl o niemożności stworzenia spektaklu, czyli o tym, jak paradoksalnie spektakl jednak stworzył. Równie intensywnie jak Fellini w filmie zmagając się z kryzysem twórczym. Reżyser (światny Michał Czacchor). Przedstawia najbliższym współpracownikom szkic scenariusza, ale ci reagują z dystansem. Główna aktorka (Marta Zięba) wciąż dopytuje, kogo właściwie ma grać, Pisarz (Andrzej Szeremeta) widzi w scenariuszu zlepek niepowiązanych scen, a druga Aktorka akolitka (Angelika Kurowska) potrafi jedynie deklarować swoje uwielbienie.

Osamotniony Reżyser odchodzi więc, aby wybrać twórczy azyl wśród nowohuckich amatorów. Mnóstwo tu cierpkich uwag i epizodów nawiązujących do teatru zagubionego w poszukiwaniu wątpliwej awangardowości. Niemało scen nieodparcie śmiesznych, ale i gorzkich. Osobisty ton wprowadzają fragmenty autentycznej rozmowy Szydłowskiego z 90-letnim Ojcem. Ważne przedstawienie o chorobie naszych czasów – atrofii uczuć, zaniku empatii i narastaniu znużenia.

Tomasz Miłkowski

„Strach i nędza 2022”, reżyseria Bartosz Szydłowski, Teatr Łaźnia Nowa w Krakowie,
premiera 30 września 2022

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Serce na dłoni

Jadąc przez zatłoczone miasto, mijam na Woli mur z czerwonej cegły. Jakbym znał to miejsce? Już wiem, za tym murem jest cmentarzyk, gdzie chowaliśmy bliskiego mi kolegę, fotografa Jurka Modraka. Po kilku godzinach, wracając inną trasą, równie niespodziewanie jestem w miejscu, które też nagle rozpoznaję, to szpital św. Zofii, gdzie rodziło się moi Antos i Franio. A przecież miasto jest wielkie, czy to tylko zbieg okoliczności? Między tymi spotkaniami spotkanie z uczniami w dużym liceum społecznym. Na parterze rozstawione stoły z szachami, uczniowie grają w czasie przerw. Pomysł, który ociepla szkołę.

Spotkanie przy świecach. Kilkudziesięciu uczniów z kilku klas czyta moje wiersze, sami się zgłosili. Ale inicjatywa Joasi, wiotkiej nauczycielki. Uczniowie czytają lepiej, gorzej, starają się jednak i są przejęci. Potem zadają mi pytania. Bardzo dobre, dorośli nigdy nie pytali tak trafnie. Podpisuję moje tomiki wierszy, które zakupiła dla nich szkoła. Czasami dopiero gdy pytam o imiona, dowiaduję się, jaka jest płeć, to nie LGBT, ale ubranie, włosy i zachowanie coraz mniej różni młodych. To wielka zmiana cywilizacyjna, tak jest nie tylko wśród młodych, dwie płcie w ciągu poprzedniego wieku bardzo się zbliżyły do siebie. Mężczyźni są o wiele bardziej kobiecy, a kobiety stały się bardziej męskie.

Co mnie w tych młodych uderza, to chłonność, ciekawość, ale też smutek. Oni są uderzająco smutni. Joanna to potem potwierdza, kilkoro z nich ma depresję. Jedna dziewczyna wydała mi się szczególnie smutna, wpisuję jej do książki: „Nie martw się, wszystko będzie dobrze”. Rumieni się zdumiona – to tak widać? Sam depresyjny, jestem mistrzem w czytaniu nastroju innych ludzi. Uczennicę Basię, ma 16 lat, biorę do samochodu, dowiedziałem się, że mieszka w Falenicy, więc nie tak daleko mojego Międzyzlesia. Podróżuje do szkoły dwie godziny, ale i tak zadowolona, zdała do Batorego, ale tam nie chciała chodzić, bo wyścig szczurów. Już ruszamy, gdy dzwoni nauczycielka, jest w hysterii. Nie mogę ot tak odwozić uczennicy, musi być zgoda szkoły i rodziców. Zgłupiałem. A właściwie świat zgłupiał. Dzwonimy do ojca dziewczyny z mojego telefonu, ona nie ma ze sobą komórki. Ojciec wyraża zgodę i szkoła się godzi.

Dlaczego Basia nie ma telefonu? Od miesiąca nie bierze do szkoły komórki, ponieważ zauważyła, że uzależnia się od mediów społecznościowych. Tylko na początku to bolało. Myślę: takie czasy, że decyzja zdaje się heroiczna, sam czuję się nieswojo, gdy zapomnę zabrać telefon, a moim synkom coś takiego zupełnie nie mieści się w głowie. Telefon jest teraz jak serce, jak można zostawić serce w domu? Dziewczyna okazała się oryginalna. Píše do znajomych listy, których nie wysyła, pisze je dla siebie. Tylu jest świetnych młodych w Polsce, tylu ich niestety wyjedzie z kraju.

Wieczorem znajoma, inna nauczycielka, pisze do mnie: „Utonęłam w swojej pracy i dławię się nią. Ogrom nieszczęść dzieci i rodzin mnie przytłacza. Dramatem jest brak wiedzy, jak żyć pod jednym dachem”. Mamy chyba wielki problem cywilizacyjny. A zostawianie serca na boku można potraktować dostownie.

Na obiedzie mój przyjaciel z młodości Olek Gruszczyński, jest operatorem w Hollywood.

Zawsze był okazem zdrowia i królem życia. A rok temu katastrofa z sercem. W szpitalu wyjęto mu serce z klatki piersiowej i je zatrzymano, a jego podłączono do płucoserca, naprawiono serce, uruchomiono i wstawiono je na powrót. I jest teraz w świetnej formie. Czy to nie są cuda?

Jacek Kurski – obok Ziobry to chyba najobrzydliwszy człowiek na scenie politycznej współczesnej Polski – w nagrodę za zorganizowanie szczupni zwanej telewizją publiczną dostaje kierownicze stanowisko w Banku Światowym. Kurski w TVP harmonijnie i zręcznie połączył elementy hitlerowskiej propagandy z propagandą stalinowską. Zdolny człowiek. I bardzo praktyczny. Już wie, że PiS przegra wybory, więc nie ma sensu starać się o rządowe posady. W ogóle jak się popatrzy na tę ludzką menażerię na pisowskiej scenie, to aż głowa boli od nadmiaru wrażeń. Co za typy! Prezes, który potwornieje z każdym miesiącem, Macierewicz z obłędem w oczach, Morawiecki z monstrualnie długim nosem, Sasin Shrek, Terlecki jakby nosił własne zwłoki i mówił zagrobowo, Suski – idiota z obliczem błazna. Tragiczny kabaret. A może to są piękni i szlachetni ludzie, a ja obłąkany nienawiścią ich krzywdzę? Przecież dla milionów Polaków są piękni i szlachetni. Rzeczywistość zawsze podszyta jest nierzeczywistością.

**Tylu jest świetnych młodych w Polsce,
tylu ich niestety wyjedzie z kraju.**

Bardzo kosztowna wojna staje się coraz droższa

Nie warto przyczyniać się do wydłużania ukraińskiego kryzysu

Grzegorz W. Kołodko

Przy podejmowaniu decyzji o zaatakowaniu Ukrainy rosyjski prezydent, będąc świadom swego prestiżu i siły, z pewnością liczył na zrozumienie i, co więcej, na poparcie większości społeczeństwa. Przed agresją mogliśmy przeczytać, że „po 20 latach pełnienia funkcji prezydenta lub premiera Władimir Putin pozostaje potężnym przywódcą swojego narodu i być może bardziej popularnym niż jakikolwiek inny przywódca rosyjski od rewolucji 1917 r. Jego nowy autorytaryzm jest postrzegany – nie tylko we własnym kraju – jako najbardziej od pokoleń udany

„jeśli Rosja zacznie tracić pozycję na polu walki, niezgoda i wewnętrzne starcia mogą rozprzestrzenić się na Kremlu. (...) Zachód może podnieść koszty długiej wojny dla Rosji, kontynuując nakładanie sankcji, które grożą trwałymi szkodami dla rosyjskiej gospodarki. Może oddzielić rosyjskie elity od Putina, witając dysydentów ze świata biznesu i polityki oraz zachęcając ich, by przekonali się, że ich kraj nie powinien marnować swojej przyszłości na bezsensowną i kosztowną kampanię”². Na to można liczyć, ale ile czasu wymaga urzeczywistnienie takiej ścieżki zmian sytuacji? Czy aby nie za długo i nie zbyt to kosztowne z jednej strony dla nieszczęsnych Ukraińców,

świecie, dostarczając odpowiednio 39 i 17 mln ton, co w sumie zaopatrywało aż 28% globalnego rynku. Jeśli tak zaprawdę jest, to wojna we wschodniej Ukrainie musi mieć opłakane skutki w licznych regionach położonych daleko od niej. Na gruntach tych dwu krajów³ uprawia się również dużo kukurydzy i jęczmienia, które są wykorzystywane do karmienia zwierząt. Ukraina wyprzedza Rosję w produkcji nasion słonecznika i oba kraje – największy pod tym względem producenci – posiadały przed wojną w sumie 11,5% światowego rynku oleju roślinnego.

Wszystko to teraz już w czasie przeszłym, bo w konsekwencji wojny i sprowokowanych przez nią sankcji te wskaźniki są mniejsze, niekiedy bardzo głęboko. Ale problem nie tylko w tym, że drastycznie spada wywóz zbóż i oleju roślinnego ze skonfliktowanych krajów. Innych 26 państw wprowadziło poważne ograniczenia w sprzedaży żywności poza swoje granice w obawie o niedostateczną jej podaż na własnym rynku. Występuje ryzyko eskalacji takich protekcyjnych praktyk, co może w niektórych segmentach krajowych rynków i w odniesieniu do pewnych asortymentów płodów rolnych poprawić sytuację, ale w sumie pogorszy ją w skali całego świata, stawiając w szczególności niekorzystnym położeniu kraje najbardziej zagrożone.

Stosowane instrumenty ograniczające międzynarodowy handel żywnością to w większości administracyjne zakazy jej eksportu, które w sumie obejmują 15% kalorii przechodzących przez światowy handel. W rezultacie zwiększa się liczba ludzi, którym głód zagląda

Niedożywienie czy wręcz głód nie są powodowane obiektywnym brakiem żywności, lecz trudnościami logistycznymi i decyzjami politycznymi zapadającymi daleko od tych, którzy nie mają co jeść.

rosyjski reżim. (...) Jako taki służy za wzór dla nowych autorytarnych przywódców w innych krajach”¹. Znowu nasuwa się pytanie: czy w następstwie wojny z Ukrainą ten wzór zblednie, czy stanie się jeszcze bardziej jaskrawy? Odpowiedź wcale nie musi być jednoznaczna: gdy jedno kraje być może zechcą naśladować Rosję, inne w tym samym czasie będą się od tego jak najbardziej odżegnywać. Wystarczy porównać takich jej sąsiadów, jak były republiki radzieckie Litwa i Białoruś czy Armenia i Tadżykistan.

Nawet bez sankcji bardzo kosztowna wojna staje się coraz droższa. Na tym tle spekuluje się, że

a z drugiej dla ponoszących konsekwencje rykoszetów restrykcji ludzi żyjących z dala od frontu? Czy na pewno warto?

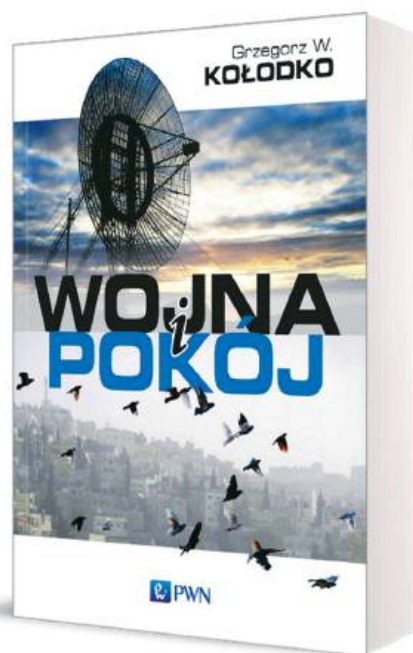
Przed wojną ukraiński eksport żywności dostarczał kalorii dla 400 mln ludzi. W sumie Rosja i Ukraina zapewniały prawie jedną ósmą kalorii sprzedawanych na światowym rynku. Według Organizacji ds. Wyżywienia i Rolnictwa (FAO) prawie 50 krajów importujących pszenicę w ponad 30% sprowadzało ją z Rosji i Ukrainy; w przypadku 26 państw było to ponad 50%. W 2021 r. Rosja była pierwszym, a Ukraina piątym największym eksporterem pszenicy na

w oczy. Już pandemia koronawirusa spowodowała lawinę problemów w tym zakresie, teraz dochodzą do tego kolejne szoki. Najgorsze w tym wszystkim jest to, że niedożywienie czy wręcz głód, niekiedy zabijający, nie są w tym przypadku powodowane obiektywnym brakiem żywności, zwłaszcza zbóż i olei roślinnych, lecz trudnościami logistycznymi i decyzjami politycznymi zapadającymi jakże daleko od tych, którzy nie mają co jeść.

Kalkulacje polityczne dokonywane w różnych stolicach zgoła odmiennie szacują i wąż koszty – i korzyści, bo tych dla niektórych też nie brakuje – z przeciągania wojny. Przytoczmy tu odnosząc się do innego konfliktu i związanych z nim sankcji jakże wymowną opinię Madeleine Albright, byłej amerykańskiej sekretarz stanu, wyrażoną podczas wywiadu telewizyjnego „60 Minutes” dla telewizji CBS. Gdy po narzuceniu na Irak sankcji amerykańskich po wojnie w Zatoce Perskiej w 1991 r. zapytano ją (była wtedy ambasadorem USA w ONZ), że w ich następstwie „pół miliona irackich dzieci zmarło (...). Czy taka cena była tego warta?”, odrzekła: „Myślę, że to bardzo trudny wybór, ale cena jest tego warta”. Inni myślą inaczej. Absolutnie nie było warto, tak jak i teraz nie jest warto przyczyniać się sankcjami i retorsjami do wydłużania ukraińskiego kryzysu, zważywszy nie tylko na miejscowe tragedie, lecz również na jego uboczne efekty gdzie indziej, w tym możliwość kryzysów humanitarnych daleko od Ukrainy.

Im dalej, tym mniej to boli, ale nawet jeśli tak działa mechanizm psychologiczny i polityczny, że tu, blisko, śmierć tysiąca osób to jakby więcej niż miliona w odległych krajach Afryki Subsaharyjskiej, Bliższego Wschodu czy Azji Południowej, to należy mieć świadomość dalszych następstw takiego stanu rzeczy. Otóż kryzysy humanitarne i towarzyszące im niepokoje społeczne i polityczne w odległych krajach pośrednio dotkniętych gorącym starciem Rosja-Ukraina i zimnowojennym Rosja-Zachód będą nasilać fale emigracji. Uchodźców będziemy liczyć w dziesiątkach

milionów. Będzie ich coraz więcej – szczególnie tych przybywających do Europy – a przecież już kraje, do których docierają, nie dają sobie z tym rady. W maju 2022 r. – trzy miesiące po inwazji Rosji na Ukrainę, którą opuściło wtedy ok. 5 mln osób – liczba ludzi zmuszonych do ucieczki przed konfliktami, przemocą, łamaniem praw człowieka i prześladowaniami w skali całego świata przekroczyła 100 mln.



liczba osób, które opuściły Ukrainę, wzrosła do 10 290 039, a tych, którzy powrócili, było 4 230 116. Tym samym za granicą znajdowało się aż 6 059 923 Ukraińców więcej niż przed inwazją rosyjską niespełna pół roku wcześniej. Gdyby ich wszystkich potraktować jako uchodźców, to byłoby ich prawie tyle samo, co uchodźców z Syrii, a w ujęciu względnym – w stosunku do populacji kraju – byłby to drugi, po Syrii właśnie, najbardziej dramatyczny przypadek na świecie. Jednak, jak można sądzić, w ciągu tych dwóch miesięcy – w czerwcu i lipcu 2022 r. – większość osób przekraczających granicę ukraińską, najczęściej z Polską, nie była uciekinierami przed okropnościami wojny, a raczej regularną niewojenną emigracją zarobkową. Głównie, podobnie jak w latach poprzednich, były to osoby pracujące lub poszukujące zajęcia w Polsce oraz w krajach Europy Zachodniej.

Nie należy przy tym zapominać o już występujących katastrofalnych sytuacjach humanitarnych na dużo bardziej dolegliwą skalę niż ta na Ukrainie. ONZ szacuje, że w sumie na całym świecie ok. 750 mln ludzi (to więcej niż wszyscy mieszkańcy Europy razem wzięci) wymaga pilnej pomocy, bo sami sobie nie są w stanie poradzić z trapiącymi ich bólami związanymi z bezpieczeństwem, chorobami, niedoży-

Kryzysy humanitarne oraz niepokoje społeczne i polityczne w odległych krajach pośrednio dotkniętych gorącym starciem Rosja-Ukraina i zimnowojennym Rosja-Zachód będą nasilać fale emigracji.

Według danych United Nations High Commissioner for Refugees, UNHCR (Wysoki Komisarz Narodów Zjednoczonych ds. Uchodźców), od początku wojny do końca maja granicę przekroczyło 6 890 245 osób, opuszczając Ukrainę, ale jednocześnie wróciło na nią 2 125 235 osób. Tym samym za granicą pozostawało 4 765 010 osób. Liczby te znacznie się zmieniły w ciągu następnych dwóch miesięcy. Do końca lipca

wieniem i głodem oraz naturalnymi katastrofami.

Zdecydowanie gorsze jest położenie ludności w Afganistanie, Bangladeszu, Mjanmie, Syrii, Jemenie i Etiopii. W Jemenie w wyniku walk, głodu i chorób zmarło 377 tys. osób, trzy czwarte ludności jest w stanie przetrwać tylko dzięki skromnej pomocy zagranicznej, działa tam słabo zaledwie połowa szpitali i klinik. Konsumowana tam żywność w 90% pochodzi z importu i latem ▶

► 2022 r. była o 120% droższa niż rok wcześniej. W etiopskiej prowincji Tigray w trakcie półtora roku trwającego tam konfliktu zbrojnego zmarło aż pół miliona osób. Szacuje się, że od 50 do 100 tys. zginęło w walkach, od 150 do 200 tys. zmarło z głodu i ponad 100 tys. w rezultacie braku opieki zdrowotnej. W Czadzie, gdzie mediana wieku wynosi zaledwie 16 lat, na 100 tys. osób przypada sześciu lekarzy. To głównie brak

wywodzący się z Tigraju), gdy powiada, że nie traktuje się tak samo ludzi różnej rasy i wątpi w to, iż „świat naprawdę przykładą taką samą uwagę do białego i czarnego życia”. Jak przystało na szefa międzynarodowej organizacji obejmującej cały świat, podkreśla, że aczkolwiek pomoc humanitarna dla Ukrainy jest bardzo ważna, to nie można zaniedbywać innych. Co gorsza, niektóre kraje świadczące pomoc

założenia przyjmuje się w formułowaniu ocen i konstruowaniu strategii działań. Ktoś może podzielać poglądy głoszące, że „widać, dokąd zmierza Putin. Zagarnie tyle Ukrainy, ile się da, ogłosi zwycięstwo, a następnie wezwie narody zachodnie do narzucenia Ukrainie jego warunków. W zamian oszczędzi resztę świata przed ruiną, głodem, zimnem i groźbą nuklearnego Armagedonu. Zaakceptowanie takiego układu byłoby poważnym błędem w kalkulacji. Ukraina stanie wówczas w obliczu permanentnej rosyjskiej agresji. Im bardziej Putin wierzy, że odniósł sukces na Ukrainie, tym bardziej wojowniczy się stanie. Przedstawił swoje ambicje w przemówieniu w tym miesiącu [czerwiec 2022], uśmiechając się, gdy mówił o tym, jak Piotr Wielki zajął część Szwecji. Jutro będzie walczył jakkolwiek bronią, która dziś dla niego działa. Oznacza to uciekanie się do zbrodni wojennych i zagrożeń nuklearnych, zagrożenie świata i zamrożenie Europy”⁴. Jeśli akurat tak ktoś widzi sprawę, to można zrozumieć, dlaczego opowiada się za wydłużaniem wojny jako potencjalnie jedynym sposobem jej wygrania, skoro nie dało się jej zdusić w zarodku. Ale ktoś inny może z przytoczonym stanowiskiem z gruntu się nie zgodzić i wtedy może mieć rację, że trzeba ją skończyć jak najszybciej – nawet za cenę utraty przez Ukrainę części jej terytorium – aby w warunkach pokojowych zajmować się rozwiązywaniem problemów, których nie brakuje.

Fragment książki Grzegorza W. Kołodki
Wojna i pokój, Wydawnictwo Naukowe PWN,
Warszawa 2022

W czerwcu i lipcu 2022 r. większość osób przekraczających granicę ukraińską nie była uciekinierami przed okropnościami wojny, a raczej regularną niewojenną emigracją zarobkową.

stosownej opieki medycznej przyczynia się do tego, że na 100 tys. żywych urodzeń umiera aż 6548 niemowląt, a przy porodzie umiera 1140 matek. Dla porównania, w Polsce te liczby wynoszą odpowiednio 416 i 2.

Te wstrząsające tragedie to żadne pocieszenie dla Ukrainy ani też umniejszanie skali ukraińskiego dramatu, ale niestety rację ma dyrektor generalny World Health Organization, WHO (Światowa Organizacja Zdrowia), Tedros Adhanom Ghebreyesus (notabene Etiopczyk

są zdecydowanie bardziej skore do okazywania pomocy militarnej – a to często nie jest żadną pomocą, ale wręcz odwrotnie, szkodnictwem – niż humanitarnej.

Najwięcej zależy od tego, jakie cele polityczne naprawdę przyświecają stronom angażującym się w konflikt. Jeśli przez chwilę założymy, że w odniesieniu do starcia rosyjsko-ukraińskiego faktyczne cele pokrywają się z tymi oficjalnie głoszonymi – a jakże często tak nie jest – to wiele zależy też od tego, jakie

¹ Wiatr Jerzy J., *Political Leadership: Between Democracy and Authoritarianism*, Barbara Budrich Publishers, Opladen–Berlin–Toronto 2021, s. 162.

² *How to win Ukraine's long war*, „The Economist”, June 30, 2022 (www.economist.com/leaders/2022/06/30/how-to-win-ukraines-long-war; dostęp 2.07.2022).

³ Udział rolnictwa w PKB Ukrainy to 12,2, a Rosji 4,7%. Dla porównania, w Polsce jest to 2,4, a w USA zaledwie 0,9%.

⁴ *How to win Ukraine's long war*, op.cit.



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Magia samotnych świąt

Potrzeba czasu rytualnego drzemie w każdym z nas, ale nie jest dobrze, kiedy się człowiek od niej uzależnia. Tak bardzo, że perspektywa spędzenia samotnie Wigilii doprowadza go do rozpacz, stanów depresyjnych czy wręcz przekracza możliwości wyobraźni. Samotna Wigilia może być dla człowieka wierzącego jednym z progów dojrzewania do samotności, ale też okazją do religijnego przeżycia niezmaconego harmidrem przybyłych gości i telekołęd na cały regulator. Dla apostaty to okazja do sprawdzenia swojej wolności od Kościoła – jeśli kto wystąpił z jego struktur, ale na myśl o samotnych świątach panikuje, żaden z niego ateusz. Dzień jak co dzień, tylko krótki i ulice wcześniej wyludnione – w sam raz, żeby napić się wina czy tam herbaty z sokiem malinowym i postuchać np. Bacha. Rozbrat z instytucją Kościoła nie obejmuje wszakże wstrętu do arcydzieł przezeń sponsorowanych – ale, żeby przypadkiem się nie wpisać w kalendarz liturgiczny, prawdziwy apostata winien bez lęków o karę bożą za świętokradstwo puścić sobie na wigilijny podwieczorek „Pasję wg św. Mateusza”.

Odspojenie duszy od świąt jest trudne w naszym kręgu kulturowym, zwłaszcza jeśli się w rodzinie katolickiej spędziło dzieciństwo, bo łatwo pomylić nostalgię za jego sielską krainą utraconą z tęsknotą do wspólnej modlitwy przy opłatku. Jeśli się utraciło wiarę w Kościół, ale nie w Boga, należy wyleczyć się z roztrzępotanych emocji w czasie sakralnym – wszak świętość tych grudniowych dni została nakazana instytucjonalnie w czwartym stuleciu po narodzeniu Chrystusa.

W toksycznych układach rodzinnych presja wspólnych świąt jest okresem podwyższonego zagrożenia. Kiedy ludziom nienawidzącym się na co dzień religia nakazuje celebrację wzajemnego miłosierdzia, wychodzi to pokracznie lub całkiem na opak. Komisarjaty, szpitale i Niebieska Linia pracują na pełnych obrotach, bo ludzie ranią się tym bardziej właśnie wtedy, kiedy im nakazano sobie wybaczać. Są bowiem krzywdy, których przebaczenie wymaga czegoś więcej niż sianko, karpik i pasterka, choć to okoliczności powszechnie uznawane za łagodzące emocje.

Tam, gdzie rodzina jest źródłem cierpień, z dala słyszane od listopada bożonarodzeniowe evergreeny są zwiastunami niechybnej katastrofy, przywołują w najlepszym razie chwile przeptakane nad świątecznym obrusem, w najgorszym bosą ucieczkę po śniegu z domu pełnego przekleństw i przemocy. Chyba że ma się sąsiadów, którzy przyjmą nieletniego uciekiniera w skarpetkach i użyczą nakrycia dla niespodziewanego gościa. Ofiarom rozbitych rodzin robi się niedobrze na dźwięk dzwonek śniegów, Mikołaj zawsze przynosi różgi, a od wigilijnego stołu najlepiej się oddalić, kiedy ktoś pierwszy rzuci mięsem i zanim ostatni rzuci talerzem.

Kiedy ludziom nienawidzącym się na co dzień religia nakazuje celebrację wzajemnego miłosierdzia, wychodzi to pokracznie lub całkiem na opak.

Żeby przetrwać grudniowy terror częściej dobroci na pokaz w akompaniamencie gwiazdkowych songów, ludzie „wykluczeni świątecznie” sięgają po alkohol albo psychotropy. A przecież wystarczy się zdystansować. Masz kasę – wykup wycieczkę do ciepłych krajów, najlepiej tam, gdzie dominuje inna religia i dla większości to dni powszednie. Nie masz forsy, a w rodzinie stan wojenny? Nie zmuszaj się do dzielenia opłatkami z ludźmi, którzy ci zaszli za skórę – wpakuj się do przyjaciół albo przynieś jakiś prezent na wigilię dla bezdomnych, w ostateczności idź na baaardzo długi spacer z psem, od którego wedle wierzeń możesz usłyszeć tej nocy dobre słowo. Nie masz forsy ani rodziny? O szczęście niepojęte, sam Bóg odwiedzi cię, nikt nie będzie cię przeszkadzał. Jeśli zaś oprócz tego brakuje ci wiary, nie masz zupełnie czym się przejmować. Żyjesz jednak w rytmie innych rytuałów, których nie narzucasz ogółowi, sam się nimi napawasz. Na przykład 21 grudnia świętowałeś przesilenie zimowe – teraz już będzie coraz więcej światła słonecznego na drodze, która jest celem. A Bach dobrze robi przy każdej okazji. Od jego muzyki moc truchleje. Nawet chrześcijaństwo zdaje się dzięki niej otrzymywać rozgrzeszenie. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeгляд.pl



Dołącz do naszej społeczności

Znajdź PRZEGLĄD na Facebooku, Twitterze, Instagramie, YouTube i LinkedIn

eprasa.pl bd6a485ba8



Dialog społeczny to klucz do demokratyzacji państwa

Rzeczywistość postawiła przed Radą Dialogu Społecznego olbrzymi obszar zadań

Sylvia Adamczyk



Przestrzeń dialogu społecznego stwarza warunki do toczenia debat i negocjacji dotyczących szerokiego grona społecznych. Celem jest wymiana informacji, przedstawienie postulatów i propozycji działań na rzecz wspólnych spraw oraz poszukiwanie rozwiązań akceptowalnych przez poszczególne strony. Co za tym idzie – wpływanie na poszczególne strony dialogu społecznego w taki sposób, aby ich działania przynosiły jak największą korzyść społeczeństwu.

Zgodnie z zasadą rotacyjności w październiku 2021 r. funkcję przewodniczącego Rady Dialogu Społecznego objął Andrzej Radzikowski – szef Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych. Rzeczywistość postawiła przed Radą olbrzymi obszar zadań. Realizacja przyjętego programu wymagała od członków RDS dużej aktywności i odpowiedzialności. Było jasne, że bez podejmowania konkretnych kroków na rzecz prowadzenia konstruktywnego dialogu społecznego nie będzie możliwe rozwiązanie narastających problemów społeczno-gospodarczych. Trwająca kolejny rok pandemia COVID-19 unaoczniała potrzebę podejmowania wzmocnionych działań na rzecz ochrony zdrowia oraz ratowania polskiej gospodarki i rynku pracy.

Andrzej Radzikowski jako przewodniczący Rady rozpoczął swoje działania od spotkania z przedstawicielami wszystkich partnerów dialogu społecznego. Uczestniczył również w seminarium przedstawicieli krajowych Rad Dialogu Społecznego Unii Europejskiej oraz przewodniczących i sekretarzy generalnych Europejskiego Komitetu Ekonomiczno-Społecznego (EKES) w Paryżu. Tematem były „rola krajowych rad społeczno-gospodarczych w budowaniu przyszłości Europy” wobec stojących przed nią wyzwań i priorytetów oraz „rola krajowych planów odbudowy i odporności”.

Rada systematycznie realizowała przyjęty plan pracy, reagując jednocześnie na wyzwania wynikające z rozwoju sytuacji. Odbłyło się dziewięć posiedzeń plenarnych (m.in. z udziałem prezydenta RP i prezesa Rady Ministrów), podczas których omawiano: pakiet klimatyczny i związaną z nim politykę energetyczną Polski w kontekście Europejskiego Zielonego Ładu, wpływ na pracowników i przedsiębiorców reform podatkowych, które przyniósł Polski Ład, stale rosnącą inflację, status funduszy unijnych, w tym Krajowego Planu Odbudowy, sytuację na rynku pracy po dwóch latach pandemii, przyszłość dialogu społecznego w Polsce. Część spraw będących obiektem zainteresowania RDS to zagadnienia niezmiennie aktualne. Należą do nich

problemy związane z rozwojem gospodarczym, budżetem państwa, wzrostem płacy minimalnej, waloryzacją emerytur oraz wynagrodzeń. To także warunki życia pracowników, ochrona zdrowia, system emerytalny, funkcjonowanie systemu oświaty w świetle wdrażanych reform i przyjmowania uchodźców wojennych. W kontekście tych zagadnień pod dyskusję poddano kwestię przyszłości dialogu społecznego w Polsce.

Wiele ważnych tematów zgłaszanych przez poszczególne strony Rady było omawianych i negocjowanych w zespołach problemowych. Dotyczyły one m.in.: warunków do rozwoju przedsiębiorczości, prawa pracy, polityki społecznej, rozwoju dialogu społecznego, środków europejskich, demografii, robotyzacji i cyfryzacji.

W lutym br. Rada Dialogu Społecznego stanęła przed dużym wyzwaniem w związku z agresją militarną Federacji Rosyjskiej wobec Ukrainy. Partnerzy społeczni wystosowali specjalny apel o deeskalację konfliktu i przywrócenie pokoju w relacjach międzynarodowych. Wyrazili również solidarność z narodem ukraińskim, wzywając do współpracy we wsparciu obywateli Ukrainy. Omawiano zasady wsparcia instytucjonalnego dla uchodźców i otwarcia rynku pracy. Systematycznie monitorowano liczbę uchodźców i ich sytuację. Dyskutowano o prowadzeniu polityki, która ma za zadanie wspomóc procesy adaptacji oraz ułatwianie znalezienia pracy.

Oceniając działalność Rady, należy pamiętać, że dużo zależy od tego, jak budujemy naszą świadomość w zakresie roli i znaczenia dialogu społecznego. Często zapomina się, że dialog społeczny jest wpisany w podstawy ustrojowe Polski. Jest o nim mowa m.in. w art. 20 konstytucji. Konstytucja wymienia również partnerów społecznych uczestniczących w tym dialogu oraz określa ich rolę i zadania. RDS jest instrumentem realizacji tych zasad. Jeżeli tak podejmiemy do idei dialogu społecznego i jego instytucji, czyli Rady, to mamy szansę na realny postęp demokratyzacji państwa, zwiększenie udziału pracowników i przedsiębiorców w zarządzaniu nim i większą identyfikację obywateli z tym państwem.

W rozmowach partnerów społecznych kształtuje się pomysł, by RDS nie była elementem jednego z działów ministerstwa zajmującego się pracą, lecz stała się samodzielną, niezależną instytucją, z własnym budżetem i z większymi uprawnieniami, adekwatnymi do wyzwań przyszłości. To ważne, bo stabilny i efektywny dialog społeczny jest jednym z kluczowych warunków budowania w naszym kraju gospodarki opartej na wiedzy i rozwoju społecznym.

Sylvia Adamczyk jest główną specjalistką Zespołu ds. Struktur i Dialogu Społecznego OPZZ



Łowy na Zibiego

Wokół PZPN krążą funkcjonariusze CBA, a prokuratura zaczyna rozgrzebywać dawne sprawy

Marek Czarkowski

22 listopada funkcjonariusze Delegatury CBA w Szczecinie, działając na polecenie prokuratury, zatrzymali tuż przed wylotem do Kataru na mecz Polska-Meksyk cztery osoby w związku z podejrzeniem wyrządzenia szkody w majątku Polskiego Związku Piłki Nożnej na kwotę co najmniej 1 mln zł. Zatrzymano byłego członka zarządu PZPN Jakuba T., byłego sekretarza generalnego związku Macieja S. oraz Iwonę T. i Gabrię M., związane ze spółką współpracującą z PZPN.

Sprawa ta ma dłuższą historię. Już we wrześniu 2020 r. centralę PZPN odwiedzili funkcjonariusze CBA, by zabezpieczyć komputery, telefony i dokumenty finansowe. Podobne wizyty miały miejsce w siedzibach okręgowych związku. W marcu

ub.r. służby przeszukały dom Jakuba T., postaci nietuzinkowej, był on bowiem nie tylko członkiem władz PZPN, ale też wieloletnim wiceprezesa Cracovii, należącej do wielkiej firmy informatycznej Comarch.

W ocenie kompetentnych organów w 2014 r. doszło do nieprawidłowości w związku z umową sponsorską, którą PZPN podpisał ze znanym producentem wody mineralnej. Prokuratura i CBA podejrzewają,

Mnożą się podejrzenia dotyczące ustawiania meczów w niższych ligach.

że zatrzymani działacze mieli bezpodstawnie uzyskać prowizję. Innymi słowy – działali na szkodę związku.

Dziennikarze szybko zwrócili uwagę na fakt, że dodatkowa umowa dotycząca pośrednictwa przy

Andrzej Placzyński ma szerokie kontakty w środowisku sportowym, ale też biznesowym i artystycznym. Nz. drugi z lewej obok Wojciecha Gąsowskiego, Krzysztofa Materny, Jerzego Skolimowskiego. W drugim rzędzie Zbigniew Boniek i Jerzy Brzęczek.

pozyskaniu tak poważnego sponsora jak ów producent wody mineralnej nie mogła zostać zawarta bez wiedzy i akceptacji ścisłego kierownictwa PZPN, na czele którego stał wówczas Zbigniew Boniek.

Natomiast 1 grudnia po przylocie z Kataru zatrzymany został Andrzej Placzyński, prezes spółki Sportfive, która przez ostatnie 25 lat ściśle współpracowała ze związkiem w sprawach sponsoringu i sprzedaży praw do transmisji meczów.

Wśród działaczy PZPN pojawiło się silne przekonanie, że celem działań prokuratury i CBA są były prezes i związani z nim ludzie. Ale, jak powiadają, „mieć podejrzenia i domysły, a nawet wiedzę o przekrętach – to jedno, a dowieść tego przed sądem – drugie”.

► Kasa, misiu, kasa

Jak wyjaśnia jeden z działaczy PZPN, ta maksyma nieżyjącego już trenera Janusza Wójcika tłumaczy wszystko, co działo się, dzieje i nadal będzie działo w polskim i światowym futbolu. Wydawać by się mogło, że ujawnienie korupcyjnego maratonu z wieloletnim ustawianiem meczów w Ekstraklasie, nazwanego aferą „Fryzjera”, i grad wyroków skazujących, które spadły m.in. na trenera Wójcika („Prezesie, tu nie ma co trenować, tu trzeba dzwonić”) czy byłego znanego sędziego, obserwatora PZPN oraz komentatora Canal+ Sport Wita Ż., przyhamowały rozbuchane apetyty bonzów polskiego futbolu. Otóż nic bardziej mylnego! Sprzedajność w tym środowisku ma się całkiem dobrze. W ciszy dojrzewa kto wie, czy nie kolejna afra, która wstrząśnie polską piłką. Znowu chodzi o ustawianie meczów, ale teraz mówi się o tym z angielską *match fixing*.

Na początku listopada br. rzecznik dyscyplinarny PZPN zawiesił dwóch zawodników IV-ligowego Chemika

Police i III-ligowej Concordii Elbląg za udział w ustawianiu meczów pod kątem zakładów bukmacherskich. Zorganizowane grupy przestępcze zarabiają na tym procederze krocie.

Niemal jednocześnie z posady trenera III-ligowej Cartusii Kartuzy zrezygnował Przemysław Cecherz, zaznaczając: „Jestem człowiekiem, który nigdy nie chce mieć nic wspólnego z nieczystym sportem”.

W 2019 r. wydatki na sponsoring przekroczyły 1 mld zł. Przy czym aż 32,3% trafiało do klubów piłkarskich i PZPN.

Cartusia jest jednym z klubów podejrzewanych o udział w machlojkach.

Ta odsłona korupcyjnego procederu ma dotyczyć klubów grających w III i IV lidze. Nie wiemy jednak, jak daleko sięgają macki organizatorów tego przedsięwzięcia. Ustawianie meczów w Ekstraklasie wydaje się dziś mało prawdopodobne, bo wszyscy patrzą tam zawodnikom, trenerom i działaczom na ręce. Ale niższe ligi nie są pod tak silnym nadzorem. Z pewnością wkrótce dowiemy się więcej.

Duża umowa, niewielki kapitał

Silne emocje towarzyszą też cichym rozliczeniom tego, co w PZPN jest związane ze sponsoringiem i reklamą. Od 2000 r. rosła systematycznie wartość całego rynku sportowego w Polsce. Szacunki mówią, że jeśli na początku XXI w. firmy wydawały na sponsoring niewiele ponad 100 mln zł rocznie, to w roku

2019 wydatki te przekroczyły 1 mld zł. Przy czym aż 32,3% trafiało do klubów piłkarskich i PZPN.

Osobą, która w związku miała wiele do powiedzenia w tych sprawach, był Andrzej Placzyński. Na polskim rynku działa on od 1993 r. Pojawił się jako przedstawiciel niemieckiej spółki UFA Film und Fernseh GmbH, która zajmowała się zakupem i sprzedażą praw do transmisji popularnych zawodów sportowych – w tym rozgrywek piłkarskich. W tamtych



 MUZEUM
NIEPODLEGŁOŚCI

Radosnych Świąt Bożego Narodzenia,
pomyślnego Nowego Roku,
a także wielu miłych chwil spędzonych
w gronie najbliższych

życzy

Dyrekcja Muzeum Niepodległości w Warszawie
wraz z pracownikami

W projekcie wykorzystano: Karta świąteczna, autor: nieznany, Polska, 1942.
papier, zbiory Muzeum Niepodległości w Warszawie, nr inw. E.13494.

 MAZOWSZE.
ŚRÓDCE POLSKI

latach rynek ten był nieuporządkowany i ktoś ambitny, znający środowisko działaczy miał duże szanse na sukces.

Cztery lata później Placzyński założył spółkę UFA Sports, której głównym konkurentem nad Wisłą była należąca do Zbigniewa Bońki firma Go and Goal. W drugiej połowie lat 90. XX w. spółki te ostro rywalizowały o zapewnienie sobie praw do transmisji spotkań polskiej Ekstraklasy. Co ciekawe, nie przeszkodziło to obu panom nawiązać potem bliskich relacji.

W 2009 r. ówczesny prezes PZPN Grzegorz Lato podpisał z kierowaną przez Placzyńskiego spółką Sportfive umowę, w której związek powierzał jej m.in. poszukiwanie sponsorów i reklamodawców dla naszej reprezentacyjnej jedenastki. Kontrakt miał obowiązywać dekadę. Część nieprzychylnych prezesowi działaczy sugerowała, że umowa jest wyjątkowo niekorzystna dla związku, lecz gdy trzy lata później w gabinecie prezesa PZPN Łatę zastąpił Boniek, nie zerwał związków z Placzyńskim.

Wśród działaczy PZPN i dziennikarzy krążył masa plotek o tym, jak Andrzej Placzyński budował swoje wpływy. Dlatego sporym zaskoczeniem była informacja z początku lipca br., że związek nie przedłuży wygasającej z końcem tego miesiąca umowy ze Sportfive. Następcą okazała się wrocławska spółka Publicon Sport, która została wpisana do KRS 13 października 2021 r. z kapitałem zakładowym w wysokości 5 tys. zł. Umowę z PZPN zawarła na pięć lat. Publicon Sport ma się zająć nie tylko pośrednictwem przy sprzedaży praw, ale również wsparciem w kreowaniu nowoczesnych świadczeń cyfrowych i współpracy merytorycznej oraz technicznej w zakresie digitalizacji treści, w dostosowywaniu do wymogów rynku medialnego i w komercjalizacji nowych segmentów rynkowych. Wkrótce przekonamy się, na ile owocna będzie ta współpraca.

Prezes Kulesza robi porządkę

18 sierpnia 2021 r. nowym prezesem PZPN został dotychczasowy wiceprezes Cezary Kulesza. Ten był

piłkarz Olimpii Zambrów, Jagiellonii Białystok i Supraślanki Supraśl dorobił się, zakładając wytwórnię płytową Green Star, z którą związane były największe gwiazdy disco polo, disco i dance pop. Między innymi zespoły Boys, Akcent, Milano i Top Girls. W latach 2010-2021 Kulesza był też prezesem Jagiellonii Białystok. Jego drużyna odnotowała w tym czasie kilka sukcesów. Klub dwukrotnie był wicemistrzem Polski i raz zdobył puchar krajowy.

Wśród delegatów panowało przekonanie, że związek potrzebuje sprawnego organizatora i fachowca, potrafiącego łączyć interesy różnych grup, których w PZPN nie brakuje. Po roku można powiedzieć, że były to płonne nadzieje. Na mistrzostwach świata w Katarze nasza reprezentacja, choć wyszła z grupy, nie zaprezentowała się zbyt dobrze. Nie wiemy, kto zastąpi Czesława Michniewicza na stanowisku selekcjonera narodowej reprezentacji – jego umowa ze związkiem wygasa z końcem grudnia.

Pośrednictwem przy sprzedaży praw do transmisji piłkarskich ma się zająć spółka Publicon Sport, wpisana do KRS 10 października 2021 r. z kapitałem zakładowym 5 tys. zł.

Mnożą się podejrzenia dotyczące ustawiania meczów w niższych ligach. Wokół PZPN krążą funkcjonariusze CBA, a prokuratura zaczyna rozgrzebywać dawne sprawy, czego potwierdzeniem są ostatnie zatrzymania. Pojawiła się informacja, że jest to odprysk tzw. afery melioracyjnej. W sprawie postawiono zarzuty działaczom PZPN Jakubowi T. i Maciejowi S.

To ciekawy zbieg okoliczności, zwłaszcza że prowizje przy wysokich kontraktach i umowach nie są niczym nadzwyczajnym. Śledztwo z pewnością potrwa długo, a jedynymi niedogodnościami, które dotkną objętych nim działaczy piłkarskich, będą wysokie poręczenia majątkowe, dozór policyjny oraz zakaz opuszczania kraju. Stąd przypuszczenie, że chodzi nie o to, by złapać winnych, lecz by ich gonić.

Co prawda, do końca kadencji prezesa Kuleszy jest jeszcze sporo

czasu, lecz sytuacja polskiej piłki, zwłaszcza reprezentacji, nie wygląda najlepiej. A władze związku rozlicza się przede wszystkim z tego, jak gra nasza narodowa jedenastka. Niektórzy krytyczni wobec prezesa działacze przypuszczają, że chce on się pozbyć potencjalnych konkurentów i stąd przykrości, które spotkały Macieja S., Jakuba T. i Andrzeja Placzyńskiego, kojarzonych w przeszłości ze Zbigniewem Bońkiem.

Wskazują oni podobną sprawę z 2015 r. O praktyki korupcyjne oskarżono wówczas przewodniczącego Międzynarodowej Federacji Piłki Nożnej (FIFA) Seppa Blattera oraz przewodniczącego Unii Europejskich Związków Piłkarskich (UEFA) Michela Platini. 8 lipca br. i Blatter, i Platini zostali uniewinnieni. Michel Platini od początku utrzymywał, że oskarżenia były fałszywe i miały na celu uniemożliwienie mu kandydowania w 2016 r. na przewodniczącego FIFA. Przed wybuchem afery był on bowiem murowanym następcą Blattera. Być może zarzuty korupcji

pojawiły się z powodu przyznania Katarowi organizacji tegorocznego mundialu. Pierwotnie organizatorem miały być Stany Zjednoczone. Komitet Wykonawczy FIFA zaakceptował tę decyzję, lecz ówczesny prezydent Francji Nicolas Sarkozy nacisnął mocno Platini i ten zmienił zdanie. Dzięki jego głosom i UEFA mistrzostwa świata przyznano Katarowi. A pół roku później kraj ten kupił we Francji myśliwcę za 14,6 mld dol.

Przykład ten ilustruje metody gry na piłkarskim Olimpie. Dlatego nie możemy wykluczyć, że problemy Jakuba T., Macieja S. i Andrzeja Placzyńskiego spowodowane są chęcią „oczyszczenia” PZPN ze współpracowników honorowego prezesa związku – Zbigniewa Bońki. Może to być też sygnał, że jeden z najlepszych napastników w dziejach polskiej piłki wkrótce, już oficjalnie, znajdzie się w kręgu podejrzeń.

Marek Czarkowski

Ryk niemego Iwa

Mundialowa przygoda reprezentacji Maroka od początku wykraczała poza sam futbol

Mateusz Mazzini

Rozpisując się na temat gry marokańskiej kadry na tegorocznych mistrzostwach świata w piłce nożnej, trzeba uważać, by nie popaść w patos. Łatwo ulec pokusie przekształcenia opowieści o futbolowym kopciuszkę w antykolonialny epos. Oto pojawia się drużyna z Maghrebu, afrykańska i arabska jednocześnie, a więc reprezentująca dwa obszary – geograficzne, polityczne, kulturowe – dotychczas na mapie światowych sukcesów futbolowych nieobecne. I to zupełnie nieobecne, bo w historii mundiali reprezentacje

Kataru pojechały, przywiozły wyłącznie piłkarzy urodzonych w kraju, który na turnieju reprezentują. To trend stały, globalny, który tylko się nasila – cztery lata temu w Rosji takich drużyn było jeszcze 10. Teraz zostały się zaledwie kadry futbolowych supermocarstw: Brazylii i Argentyny, które talenty raczej eksportują, niż przyjmują we własne szeregi, oraz dwóch społeczeństw niezwykle hermetycznych, podchodzących do obcokrajowców z dużą rezerwą: Korei Południowej i Arabii Saudyjskiej. Łącznie zawodników urodzonych poza granicami swojej ostatecznej ojczyzny jest na turnieju 137 – 16%. Globalna wioska.

Najpierw jego ofiarą padła Belgia, z której zresztą część kadry marokańskiej się wywodzi. Zwycięstwo 2:0 w rundzie grupowej dla wielu było sensacją, bo Belgowie to zespół gwiazdorski, brązowy medalista sprzed trzech lat. Potem jednak zrobiło się jeszcze goręcej. W jednej ósmej finału Marokańczycy wystąpi do domu Hiszpanów, potem Portugalczyków. Ulegli dopiero Francuzom, choć i tak wyszli z podniesioną głową. Zaprezentowali się więcej niż dobrze, jedynie brak skuteczności i miejscami zbyt duża fantazja w ofensywie nie pozwoliły im strzelić gola kolejnej światowej potędze. Konteksty historyczne nasuwają się same, lecz absolutnie nie stanowią esencji tego, co Maroko na mundialu osiągnęło. Bo zwycięstwo nad Hiszpanią czy odważne stawienie czoła Francji było czymś znacznie bardziej znaczącym niż postawienie się dawnym okupantom.

Drużyna afrykańska, futbol europejski

Każdy, kto mecze piłkarskie ogląda chociaż sporadycznie, już przed turniejem mógł stwierdzić, że Lwy stać na wiele. Drużyna może się pochwalić talentami na światowym poziomie. Achraf Hakimi to bez cienia wątpliwości jeden z najlepszych prawych obrońców na planecie, na co dzień gra we francuskim dominatorze klubowym, Paris Saint-Germain. Hakimowi Ziyechowi też pod względem piłkarskim niczego nie brakuje, a w osiągnięciu większych sukcesów przeszkadza mu właściwie tylko krnąbrny charakter. Do tego dochodzą piłkarze Fiorentiny czy Sevilli, klubów co najmniej dobrych, sporadycznie nawet dobrych bardzo. Każdy z nich indywidualnie jest w Europie znaną marką, a zgranie ich w efektywny zespół także okazało

Na obcej ziemi przyszło na świat aż 14 z 26 marokańskich piłkarzy – najwięcej ze wszystkich drużyn.

z innych kontynentów niż Europa i Ameryka Łacińska do najlepszej czwórki turnieju nie wchodziły. Jedyne wyjątek, czwarte miejsce współorganizującej mundial w 2002 r. Korei Południowej, wymieniany jest po cichu i najchętniej wszyscy byśmy o nim zapomnieli, bo naznaczony był wyraźną, niesmaczną wręcz pomocą ze strony sędziów. I oto nagle w Katarze, na mundialu pod każdym względem unikatowym i dziwnym zarazem, do grona półfinalistów jak burza piaskowa wdziera się Maroko. Drużyna z jednej strony o bardzo jasnym, arabskim rodowodzie. A z drugiej – tak skomplikowana, że w sumie nie do końca wiadomo, co o niej myśleć.

Piłkarska globalna wioska

Kosmopolityzm katarskiego mundialu opisano już prawdopodobnie na wszystkie sposoby. Zaledwie cztery z 32 reprezentacji, które do

Nawet jednak na tym wielokulturowym tle Maroko jest przypadkiem osobnym. Na obcej ziemi przyszło bowiem na świat ponad pół składu – aż 14 z 26 piłkarzy, najwięcej ze wszystkich drużyn. Co ciekawe, Marokańczycy w pewnym sensie idą pod prąd wspomnianej wyżej tendencji, bo w 2018 r. takich zawodników było w ich kadrze aż 18. Większość urodziła się w Europie: w Hiszpanii, w Belgii, we Francji, w Holandii, choć na tej liście znaleźć można też Kanadę. To pierwsza, może główna nić wielowątkowej opowieści o Lwach Atlasu, jak nazywa się marokańską kadrę narodową.

W ich katarskiej drodze do strefy medalowej nie można nie dostrzec echa kolonializmu. Zwłaszcza że przed przegraną z Francją w półfinale (tekst ten trafił do druku przed meczem z Chorwacją o trzecie miejsce) Maroko ścierało się niemal wyłącznie z krajami będącymi swego czasu kolonialnymi imperiami.



Dwunastym zawodnikiem Maroka byli kibice. Nz. na meczu półfinałowym z Francją 14 grudnia 2022 r.

się łatwiejsze, niż mogło się wydawać. Sukces Maroka tkwi jednak w czym innym i zaczął się znacznie wcześniej.

Hakimi na świat przyszedł w Hiszpanii, kapitan zespołu Ziyech i drugi ważny pomocnik, Sofyan Amrabat – w Holandii. Tych ostatnich do gry dla tamtejszej kadry narodowej próbowały namówić największe holenderskie autorytety piłkarskie. Ziyecha – sam Ruud Gullit, mistrz Europy z 1988 r., gwiazda AC Milan lat 90., według wielu najlepszej

miął wrażenie, że jest obywatelem drugiej kategorii. W niektórych przypadkach był to wybór pragmatyczny, zawodnicy chcieli mieć pewne miejsce w kadrze, a w europejskich reprezentacjach konkurencja była zbyt duża. Nie do przecenienia jest jednak aspekt działania marokańskiej federacji piłki nożnej. Tamtejsi działacze gros czasu spędzają w Europie, przechodząc lokalne szkółki w poszukiwaniu już ośmiolatków i namawiając do gry dla kraju, którego ci chłopcy coraz częściej nawet nie znają.

całkowity brak taktycznej dyscypliny, niechlujstwo w obronie, kompletna dezorganizacja podłana często sosem afer korupcyjnych w federacji i sporów wśród piłkarzy, trenerów oraz działaczy.

W przypadku Maroka o żadnej z tych rzeczy mowy być nie może. Na boisku i poza nim to chłodni profesjonaliści, momentami wręcz grający swoisty antyfutbol. Bronić umieją doskonale – i bramkarz Bono, świetnie spisujący się w karnych, i obrona, która aż do półfinału pozwoliła strzelić sobie tylko jednego (!) gola, i to samobójczego. Doskonale na boisku się przesuwały, płynnie zmieniają ustawienie. Grana przez nich piłka to futbol jak najbardziej nowoczesny. I jak najbardziej europejski. Trudno zresztą, żeby było inaczej, skoro praktycznie cała podstawowa jedenastka uczyła się kopać według wzorców ze Starego Kontynentu, a futbol w Afryce zaczęła uprawiać, dopiero grając dla Maroka w meczach domowych.

Dekolonizacja na ławce trenerskiej

Pozaeuropejską drużyną Maroko staje się, gdy kontekst futbolowy schodzi na dalszy plan. Bycie ekipą podwójnie wykluczoną – arabską

Ziyech w Holandii czuł się jak w domu tylko piłkarsko, społecznie zawsze miał wrażenie, że jest obywatelem drugiej kategorii.

klubowej drużyny w historii. Dziś wspomina, że od początku stał na straconej pozycji. Dzisiejszy gracz Chelsea Londyn nigdy grał w reprezentacji Pomarańczowych nie był zainteresowany. Podobnie jak cała reszta innych piłkarzy, którzy ostatecznie grają w barwach czerwono-zielonych. Ich drogi do reprezentowania Maroka były bardzo różne. Czasem decydowała presja rodziny, czasem – kwestie kulturowe, nawet religijne. Ziyech przyznaje, że w Holandii czuł się jak w domu tylko piłkarsko, społecznie natomiast zawsze

I chociażby z tego względu, trzymając się dyskusji wyłącznie na temat piłki, o Maroku nie można w tej chwili mówić jako o drużynie afrykańskiej. W tym ujęciu z tradycją swojego kontynentu Maroko nie ma nic wspólnego. Jako pierwsze w historii afrykańskich zmaganiach na mundialu przeszło barierę ćwierćfinału, ale gra zupełnie inaczej niż dotychczasowe potęgi: Kamerun, Senegal, Nigeria, Ghana. Tym drużynom również nie brakowało graczy wybitnych w skali światowej. Zawsze jednak prędzej czy później gubił ich

► i afrykańską – sprawiło, że na mundialu kibicowało jej prawdopodobnie najwięcej fanów. Mecze Lwów Atlasu oglądano w każdej knajpie od indonezyjskiej Dżakarty po atlantycką Casablancę. Jak w felietonie dla „New York Timesa” zauważył Issandr El Amrani, marokański pisarz i dyrektor bliskowschodniego oddziału Open Society Foundations, nie przeszkodziła w tym nawet religia, bo wśród zwolenników tej

z Paryżem. Potem bazę wypadową zrobili sobie tutaj frankiści, wybuchł konflikt o Saharę Zachodnią, nierozwiązana pozostała kwestia Ceuty i Melilli, dwóch hiszpańskich enklaw w Afryce, których zwrotu Marokańczycy wciąż się domagają. Napięcie było aż za dużo, relacja od zawsze była asymetryczna. Do momentu, kiedy Bono obronił Hiszpanom wszystkie karne, dając własnemu krajowi piłkarską suwerenność.

ze Starego Kontynentu, czasem aż za bardzo. Marokańczyków tymczasem do strefy medalowej prowadzi rodak, Walid Regragui, który w dodatku zatrudniony został jako „strażak”. Kilka miesięcy przed turniejem federacja rozstała się z jego poprzednikiem, Bośniakiem Vahidem Halilhodżiciem, z którym zresztą współpracować nie chciały największe gwiazdy, z Ziyechem na czele. Regragui, były piłkarz kadry, głośno mówi w mediach, że on jako trener arabski ma najgorzej. Jego nie zauważa już na rynku nikt, piłkarze mają lepiej, bo wychowują się w europejskich szkołkach, a trenerzy z Afryki uderzają w szklany sufit, zanim w ogóle zaczną karierę na ławce.

Futbol dzięki Marokańczykom wylał się poza stadiony – co ma i złą stronę. Nie wszyscy potrafili wyłącznie się cieszyć, piłka stała się narzędziem w walce ideologicznej. Po zwycięstwie nad Belgią marokańscy kibice wszczęli burdy na brukselskim jarmarku świątecznym – interweniowało 100 policjantów, aresztowanych zostało 10 osób. Po triumfie nad Hiszpanią mniejsze zamieszki wybuchły w Mediolanie, ale tam z kolei zginął mężczyzna dźgnięty nożem. Starć z policją obawiano się także w Hiszpanii i we Francji, bo tu konteksty pozasportowe są najbardziej zaognione. Jakkolwiek patrzeć na sukcesy Maroka, do samego futbolu ograniczyć ich znaczenia się nie da.

Bo sukces tej kadry poszedł zupełnie w poprzek światowych trendów, tego, że Afryka talenty niemal wyłącznie traci, drenowana do granic możliwości przez masowe migracje. Piłkarsko i nie tylko był to przez ostatnie lata obszar niemy. A marokańskie lwy swoim potężnym ryknięciem przywróciły mu głos. Żeby skalę tego zjawiska zrozumieć, trzeba być teraz w Rabacie, Tunisie, Kairze czy Ammanie i patrzeć na radość milionów. Radość przywróconą po dekadach biedy, terroru, głodu i smutku. To samo w sobie zasługuje na mistrzostwo świata.

Bycie ekipą podwójnie wykluczoną – arabską i afrykańską – sprawiło, że na mundialu kibicowało Marokańczykom prawdopodobnie najwięcej fanów.

ekipy znaleźli się i marokańscy Żydzi, i arabscy aktywiści walczący o suwerenność Palestyny. Wlali też marokańscy piłkarze radość i nadzieję w serca milionów rodaków w europejskich diasporach, często marginalizowanych i zmagających się z takim samym niemym rasizmem, o jakim wspominał Ziyech. Tylko w Hiszpanii Marokańczyków mieszka ponad 800 tys., zwycięstwo ich drużyny nad Hiszpanami przywracało godność, wyrównywało relacje. W pewnym sensie Maroko zwiększyło dzięki mundialowi swoją soft power, zwłaszcza w oczach tejże Hiszpanii. Jeszcze nieco ponad sto lat temu, po podpisaniu traktatu feskiego z 1912 r., Madryt rozpychał się tu jako okupant, na spółkę

Sukcesy Maroka w Katarze, pierwszy raz od dekad, wprowadzają do futbolu perspektywę inną niż europejska. Celowo pominięta tutaj została Ameryka Łacińska, bo od jakiegoś czasu i tam gra się pod dyktando Europy. Latynoskie drużyny grają po europejsku i dla europejskich celów, najmłodsze talenty od juniorów przygotowywane są na sukces, czyli transfer do Europy. Dlatego te dwie narracje złączy się już w jedną, Ameryka Łacińska dała się wtórnie skolonizować.

O Afryce powiedzieć tego nie można, a świat arabski jest na futbolowej mapie białą plamą. O tamtej piłce właściwie nic nie wiemy, wielu piłkarzy stamtąd nigdy do Europy nie wyjeżdża, a to przecież nacje owładnięte maniacką pasją do piłki kopanej. Maroko futbol więc dekolonizuje, wybija Europę ze strefy komfortu. Także politycznego i kulturowego, bo marokańscy zawodnicy nie boją się w Katarze fotografować z palestyńską flagą, dawać wyraz muzułmańskiej wierze, a nawet – jak pomocnik Sofiane Boufal – tańczyć z matką po zwycięstwie. To powiew świeżości po latach oglądania piłki nożnej w wydaniu celebryckim, gdzie gwiazdą piłkarzom towarzyszyć mają prawo tylko gwiazdy modelki.

Zdekolonizowało się też Maroko na ławce trenerskiej, co jest pewnie przełomem największym. Do tej pory drużyny pozaeuropejskie polegały na szkoleniowcach



Pokój totalny w Kolumbii

Czy pierwszy lewicowy prezydent w historii zakończy trwającą od dziesięcioleci wojnę z narkotykami?

Delegaci ELN – Pablo Beltrán (z lewej) i kolumbijskiego rządu (z prawej) – Iván Danilo wznowili rozmowy pokojowe. W środku przedstawiciel rządu Wenezueli – Carlos Martinez Mendoza. Caracas, 21 listopada 2022 r.



Daniel Brusito

Kolumbijski rząd rozpoczął negocjacje z największą partyzantką w kraju – ELN. To jedna z dziesięciu organizacji przestępczych, które przystąpiły do rozmów dotyczących złożenia broni. Czy Gustavo Petro – pierwszy lewicowy prezydent – zakończy trwającą od dziesięcioleci wojnę z narkotykami? Czy jego koncepcja Pokoju Totalnego sprawi, że przemoc zniknie z ulic?

Negocjacje z Armią Wyzwolenia Narodowego

ELN (Ejército de Liberación Nacional) jest największą, mającą 3-5 tys. bojowników, lewicową partyzantką

w Kolumbii. Działa w 23 z 32 departamentów całego kraju. Od powstania w pierwszej połowie lat 60. XX w. łączyła liberalno-anarchistyczne poglądy z elementami katolickiej teologii wyzwolenia, której postulaty skupiały się na poprawie sytuacji najuboższych i walce z wykorzystywaniem najniższych warstw społeczeństwa. Dziś czerpie zyski z nielegalnego wydobycia ropy naftowej i złota, porwań dla okupu czy ściągania haraczy od legalnie funkcjonujących przedsiębiorców oraz mafii narkotykowych operujących na terenach, które kontroluje.

To nie pierwszy raz, gdy przedstawiciele ELN i rządu siadają do rozmów. Podobne wydarzenia miały miejsce m.in. w 2017 r., kiedy wynegocjowano rozwiązanie

Rewolucyjnych Sił Zbrojnych Kolumbii (Fuerzas Armadas Revolucionarias de Colombia – FARC). Niestety, wstępne porozumienie zostało zerwane w 2019 r. po zorganizowaniu przez ELN ataku na szkołę policyjną w Bogocie, w wyniku którego śmierć poniosło 23 kadetów.

Tym razem gwarantem rozmów ma być udział rządów Kuby, Norwegii i Wenezueli, w stolicy której odbyło się pierwsze spotkanie negocjatorów kolumbijskiego rządu, wysłanników ELN oraz przedstawicieli Kościoła katolickiego i Organizacji Narodów Zjednoczonych. Zaangażowanie rządu z Caracas wydaje się kluczowe dla sukcesu rozmów. Mimo że przywódcy ELN i wenezuelski prezydent Nicolás Maduro zaprzeczają wszelkim powiązaniom, ▶

► kolumbijska guerilla ma szeroko rozwinięte struktury na terenie sąsiedniego państwa, gdzie ze względu na podobieństwa ideologiczne i szerokie wpływy wśród tamtejszych polityków i sił bezpieczeństwa może operować z pewną dozą swobody. To nie pierwszy raz, gdy wenezuelski rząd pośredniczy w rozmowach z partyzantką – rozbrojenie FARC zakończyło się sukcesem także dzięki jego zaangażowaniu.

Polityczny zwrot w lewo

Pokojowe rozwiązanie trwającego dziesięciolecia konfliktu jest jednym z kluczowych postulatów pierwszego lewicowego prezydenta w historii Kolumbii. Gustavo Francisco Petro Urrego to były senator i burmistrz stołecznej Bogoty, który karierę polityczną zaczynał w zbrojnej partyzantce M-19 (Movimiento 19 de Abril). Fakt jego przynależności do jednej z guerilli budzi skrajne emocje. Z jednej strony, mówi się, że poznał źródła przemocy od podszewki, co pozwoli mu lepiej rozumieć i likwidować jej przyczyny, z drugiej – oskarża się go o sympatyzowanie z bojówkarzami i próby obłaskawiania morderców.

Jego wizja Kolumbii zakłada odejście od klasycznej polityki uprawianej przez prawicowych poprzedników. Jak sam podkreśla, wcześniejsze próby zbrojnego rozwiązania konfliktu nie przyniosły

powszechnego ubóstwo i brak perspektyw pchają młodych Kolumbijczyków w objęcia partyzantów, organizacji paramilitarnych czy gangów narkotykowych, które obiecują szybkie i łatwe pieniądze. Receptą na sukces nowego rządu mają być programy socjalne i bardziej inklu-

Ubóstwo i brak perspektyw pchają młodych Kolumbijczyków w objęcia partyzantów, organizacji paramilitarnych czy gangów narkotykowych.

zywny model polityki, nastawiony na ponowne włączanie w normalność setek tysięcy osób żyjących na marginesie społeczeństwa. Czy jednak edukacja, praca i dostęp do służby zdrowia mogą stanowić receptę na mordy, porwania i przymusowe przesiedlenia, będące plagą kolumbijskiej rzeczywistości?

Ministerstwo Pokoju

Z końcem października kolumbijski Kongres uchwalił prawo o Pokoju Totalnym, które upoważnia rząd do negocjowania z partyzantami i organizacjami przestępczymi. Wysoka Komisja ds. Pokoju ogłosiła początek rozmów na temat zawieszenia broni z dziesięcioma zbrojnymi grupami, w tym ELN, Clan del Golfo, Las Autodefensas de la Sierra Nevada de Santa Marta oraz kilkoma gangami miejskimi czy grupami będącymi

mordów, tortur i porwań. Zdaniem ekspertów to dopiero początek długiego i żmudnego procesu, mającego doprowadzić do końca przemocy, która rozlewa się po kraju. Jak podkreślają przedstawiciele Human Rights Watch, „polityka Pokoju Totalnego, jeśli zostanie odpowiednio

zaplanowana i wdrożona, może się przyczynić do osiągnięcia postępu w dziedzinie praw człowieka w regionach Kolumbii, które od dziesięcioleci są ofiarami poważnych nadużyć ze strony wszystkich uczestników konfliktu zbrojnego”.

Cechą charakterystyczną wojny, która trwa w Kolumbii, jest to, że przemocy dopuszczają się wszystkie strony konfliktu, także przedstawiciele prawa. Powszechna korupcja władzy, której wszystkie trzy filary są finansowane przez baronów narkotykowych, stworzyła system zbrojnego klientelizmu. Instytucje państwowe, w tym policja i wojsko, posługując się terrorem, służą interesom mafii. Dotyczy to również funkcjonariuszy działających w imieniu prawa, czego skrajnym przypadkiem mogą być *falsos positivos*, czyli fałszywi pozytywni – przypadkowo mordowani przez wojsko wieśniacy, przebierani później w mundury partyzantów, co ma świadczyć o skuteczności doktryny zbrojnej walki z przestępczością.

Chcąc zmienić ten stan rzeczy, Petro nakazał wysłanie 23 generałów na emeryturę i zastąpienie członków kierownictwa sił zbrojnych i policji osobami wolnymi od oskarżeń o korupcję czy łamanie praw człowieka. Obiecał też przenieść departament policji z Ministerstwa Obrony do nowo powstałego Ministerstwa Pokoju, Bezpieczeństwa i Współistnienia.

Nowa koncepcja walki z narkotykami

„Dotychczasowa koncepcja wojny z narkotykami okazała się kompletną kląpą” – tak prezydent Kolumbii

Cechą charakterystyczną wojny, która trwa w Kolumbii, jest to, że przemocy dopuszczają się wszystkie strony konfliktu – także przedstawiciele prawa.

oczekiwanych rezultatów, powodowały tylko jego eskalację i potęgowanie przemocy. Nadrzędnym celem prezydentury Gustava Petra ma być walka z biedą i nierównościami społecznymi, które są główną przyczyną ciągłej wojny pomiędzy siłami rządowymi i organizacjami zbrojnymi wszelkiej maści.

Według kolumbijskiego Krajowego Departamentu Statystyki niemal co trzeci mieszkaniec kraju żyje poniżej poziomu biedy. To właśnie

pozostałościami po FARC. W zamian za współpracę z wymiarem sprawiedliwości, w tym ujawnienie szlaków przemytu narkotyków czy zwrócenie nielegalnie zdobytych aktywów, zdemilitaryzowani członkowie dostaliby mniejsze wyroki oraz gwarancję odbicia ich w kraju. Przestępcy, którzy odmówią współpracy, na podstawie umowy o ekstradycji mogą trafić do więzień w Stanach Zjednoczonych.

Warunkiem przystąpienia do rozmów pokojowych jest zaprzestanie

podczas pierwszego wystąpienia w ONZ podsumował ponad 50 lat prób siłowego rozwiązania kwestii narkotyków. Według danych amerykańskiego Narodowego Biura ds. Kontroli Narkotyków (Office of National Drug Control Policy) w 2021 r. potencjał eksportu kolumbijskiej kokainy wyniósł 972 tony. To ponad trzykrotny wzrost w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Chociaż Waszyngton na walkę z handlem kokainą od 2000 r. wydał ponad 15 mld dol., jej produkcja z roku na rok osiąga rekordowe wyniki.

Jak podkreśla Petro, to światowy popyt na kolumbijskie „białe złoto” generuje spiralę przemocy, w której komunistyczne partyzantki, prawicowe szwadrony śmierci, miejskie

zdrowia w ostatnich dniach zaniegował te doniesienia, podkreślając jednocześnie, że nie mogłaby to być inicjatywa jednego państwa, musiałby powstać międzynarodowy projekt, na który dzisiejszy świat nie jest jeszcze gotowy.

Słowa nie wystarczą

Jednym z najważniejszych elementów procesu rozbrojenia FARC miał być program umożliwiający powrót osób zaangażowanych w przemoc oraz produkcję i przemyt narkotyków do normalnego życia. Rząd zobowiązał się do wprowadzenia wielu subsydiów i dopłat dla farmerów, którzy przestawiliby się z uprawy koki na inne, legalne

po rozpadzie FARC wypełniły nowe organizacje przestępcze, zwane Ex-FARC mafias, składające się z bojowników, którzy początkowo złożyli broń, lecz wobec braku zaangażowania rządu w plan włączenia byłych partyzantów w struktury społeczeństwa powrócili do narkotykowego biznesu.

Kolumbia jest dziś największym producentem kokainy na świecie. Jej produkcja, przemysł i handel finansują najdłuższą trwającą wojnę domową w nowoczesnej historii naszego globu. Jak pokazują doświadczenia z FARC, problemu nie da się rozwiązać wyłącznie zbrojną walką i pustymi słowami o rozbrajaniu kolejnych mafii. Potrzebny jest całościowy plan odbudowy społeczeństwa, by zaangażowanie w nielegalną działalność przestało być dla tysięcy osób jedynym sposobem na zdobywanie środków do życia. Początek rozmów z ELN i innymi organizacjami przestępczymi ogłoszono w czasie pierwszych stu dni prezydentury Petra, człowieka który zdecydował się odłożyć karabin i rozpocząć walkę z biedą, będącą ukrytą przyczyną przemocy. Negocjacje te są pierwszym krokiem na długiej i wyboistej drodze do pokoju. Czy tym razem doprowadzą do zakończenia konfliktu?

Daniel Brusilo

Instytucje państwowe, w tym policja i wojsko, posługując się terrorem i przemocą, służą interesom mafii.

gangi i rządowe wojsko toczą walkę o kontrolę nad produkcją i dystrybucją narkotyków. Rozwiązaniem problemu nie może być zatem rozpylanie glifosatu na pola koki (zdelegalizowane w 2015 r.) i strzelanie do farmerów, dla których jej uprawa jest często jedyną szansą na jakikolwiek zarobek. Zmniejszenie zapotrzebowania na nielegalne substancje osiąga się nie wojną, lecz budową nowego społeczeństwa, które da najbiedniejszym inne źródło utrzymania niż biznes narkotykowy. „Ci, których nazywamy *narcos*, to szeregowi żołnierze, biedni chłopcy i ich dzieci. Prawdziwi *narcos* to krawaty i władza. To z nimi chcemy walczyć, jeśli chcemy zwalczać przemysł i ustanowić pokój w Kolumbii”, mówił Gustavo Petro.

Prezydent proponuje traktowanie narkomanii jako problemu zdrowia publicznego i leczenie jej od podstaw, a nie zajmowanie się dopiero objawami. Pierwszym krokiem ma być depenalizacja rekreacyjnego spożycia marihuany – stosowny projekt jest aktualnie rozpatrywany przez Senat. Od dłuższego czasu mówi się poza tym o legalizacji kokainy, o czym Petro wspominał na forum ONZ, lecz kolumbijski minister

źródła dochodu. Niestety, porażka wyborcza prezydenta Santosa, który zainicjował negocjacje, i zwycięstwo prawnicowego kandydata Ivána Duque w 2018 r. spowodowały kolejny zwrot w krajowej polityce. Doprowadził on do zerwania rokowań i wznowienia prób siłowej rozprawy z *narcos*. Pustkę powstałą

PILNE! Pomponik i jego mama skazani na rzeź. Podarujmy im życie w te święta



Droży Państwo, zwracamy się z ogromną prośbą o pomoc w uratowaniu małego Pomponika i jego mamy Pusi. Pewnych rzeczy nigdy nie zrozumiemy. Jak można sprzedać na rzeź mamę i dziecko? Zabić te dwie niewinne istoty, a pieniądze skalane krwią przeznaczyć na prezenty wigilijne? One tak bardzo chcą żyć, ale od ludzi dostały wyrok śmierci.

Gdy patrzyłem na nie, jak się do siebie przytulają a małe Pomponik ssie cycka, jak nieświadome zbliżającej się śmierci dreptają po małym boksie i cicho rżą do siebie, poczułem niewyobrażalny smutek i żal. Ile w tym momencie koni czeka właśnie na ostatni transport? Mam z dziećmi, żrebaków, staruszków, babć i chorych lub niepotrzebnych koni. Za chwilę nie pozostanie po nich nawet wspomnienie. Idą święta, a one idą na rzeź. Całego świata na pewno nie uratujemy. Ale możemy dać życie małemu Pomponikowi i jego mamie. Czasu jest naprawdę niewiele. Do 22 grudnia muszę wpłacić 2000 zł a pozostałe 2600 zł do 28 grudnia. Bardzo Was proszę o pomoc dla mamy ze żrebaczkiem. Proszę, podarujmy im życie w te Święta.

Przełącz darowiznę z imieniem POMPONIK na konto:

Numer 84 1140 2004 0000 3302 8248 4626

Fundacja Razem Dla Zwierząt, Stare Polesie 25B 05-155 Leoncin

www.razemdlazwierzat.pl tel: Marek Sotek 502 064 387

Wyslij SMS o treści RAZEM na numer 7420 / koszt tapety 4,92 zł / TWOJA POMOC RATUJE IM ŻYCIE



Konrad Malec

Wigilia równa się karp. To jak pełnia księżyca – nie do uniknięcia. Sztandarowemu daniu wigilijnemu towarzyszą zachwyty i narzekania. Ot, tradycja: Polak zwykle narzeka, więc i na karpia narzeka, choć bez niego wigilii sobie nie wyobraża.

Coraz częściej słyszy się jednak, że karp to tradycja powojenna, która zepsuła tę wcześniejszą. Na przedwojennym stole, przynajmniej według apologetów okresu, królowały sandacze, węgorze i szczupaki. Mało który wróg karpia dostrzegą, że te frykasy trafiały na stoły zamożne, czyli nader nieliczne. Na większości królowały moskaliki – solone śledzie, ze wschodniobałtyckiego podgatunku, małych rozmiarów (wskutek niskiego zasolenia tych wód). Znaczna część ludności, szczególnie miejskiej, nawet na to skromne danie nie mogła sobie pozwolić. Na wsi było nieco lepiej, można było natapać ryb w stawach i rowach: płoci, karasi, jaźi, a nawet okoni.

Karp na każdym stole

A jak było z karpem? Na owych przedwojennych stołach gościł, ale jako jedna z możliwości, nie zaś jako

KARPIK

**Ot, tradycja:
Polak zwykle
narzeka, więc
i na karpia narzeka,
choć bez niego
wigilii sobie
nie wyobraża**

danie obowiązkowe. Najczęściej był obecny na stołach inteligenckich i robotniczych, a zalety ryby podkreślała przedwojenna lewicowa prasa (choć przynajmniej w jednym z artykułów autor opisał karpie jako ryby... morskie). Starsze książki kucharskie, te z XVII i XVIII w., sposobów na karpia podawały więcej niż międzywojenne, kiedy ryba ta była kojarzona przede wszystkim z kuchnią żydowską. Od XVI w. hodowla karpia była intensyfikowana, a Rzeczpospolita uchodziła za najlepiej zagospodarowany pod względem hodowli ryb kraj po Czechach. Warto podkreślić, że miało to pozytywny aspekt przyrodniczy.

Obecne panowanie karpia na wigilijnym stole liczy się od 1947 r., kiedy ówczesny minister odpowiedzialny za handel, Hilary Minc, rzucił hasło: „Karp na każdym wigilijnym stole” i wdrożył działania mające zapewnić spełnienie obietnicy (co zazwyczaj się udawało, choć nie bez wysiłku konsumentów). Powód był prosty – kraj był zrujnowany, transport niemal nie istniał, flota rybacka w znacznej mierze podziwiała bałtyckie dno (a rybacki czynnik kaszubski, jako wymarzony materiał dla Kriegsmarine, także dna innych akwenów). Karp w tej sytuacji był idealnym rozwiązaniem, ryba rosła szybko, miała korzystny stosunek masy mięśniowej do odpadów (za sprawą polskiego hodowcy niemieckiego pochodzenia, Adolfa Gascha, który w XIX w. wyhodował znane dziś ryby o wysokich grzbietach), do tego była łatwa i tania w hodowli. To pozwoliło na zaspokojenie świątecznych potrzeb Polaków.

Niektórzy podejrzewają, że karp przyszedł Mincowi na myśl przez żydowskie korzenie. Wprawdzie jego rodzina była silnie zasymilowana, ale minister zapewne znał żydowskie tradycje kulinarne. Wiele przepisów, np. na karpia w galarecie, pochodzi wprost z tradycji żydowskiej, choć już nie karp smażony w grubej

panierce, to przepis własny PRL. Typowo polski karp podawany był w słodkim sosie, z piernika, piwa i miodu. Przenikanie się kulinarnych tradycji żydowskich i polskich było widoczne w wielu innych wymiarach, jednak wspólne dziedzictwo objawia się u nas najdobitniej przy okazji świąt.

Z tradycji PRL, o których wolelibyśmy zapomnieć, przetrwało kupowanie żywych karp i transportowanie ich do domu w plastikowych torbach. W owych czasach, gdy ryby pojawiały się nierzadko dwa tygodnie przed świętami, a w domach zamrażarki miały skromne rozmiary, takie postępowanie mogło być racjonalne. Wpuszczano nabytek do wanieny, co komplikowało nieco toaletę, ale pozwalało utrzymać żywą, a tym samym świeżą rybę do świąt. Niestety, kranówka niespecjalnie karpiowi służy, powoduje podrażnienie skóry, skrzeli i układu pokarmowego, co przysparza cierpienie. Ponieważ karp głosu nie ma, nie może nam tego zakomunikować. W dzisiejszych czasach, gdy rybę można kupić tuż przed świętami, a nawet w samą Wigilię, obchodzenie się z karpami po dawnemu jest nieracjonalne i niezgodne z prawem. Wyrokiem Sądu Najwyższego z 2016 r. transport żywych karp bez wody jest znęcaniem się nad zwierzęciem. To przestępstwo zagrożone nawet pięcioma latami odsiadki.

Z wora do klasztoru

Początki karp w Polsce sięgają XII w., kiedy to cystersi z Milicza sprowadzili je do doliny Baryczy. Według legendy miejscowy opat skosztował ryb podczas podróży do Włoch (wspomniany Gasch pod koniec XIX w. wyjechał do Italii, gdzie opracował metodę hodowli karp na tamtejszych polach ryżowych). Tak mu zasmakowały, że nie był w stanie myśleć o niczym innym. Jak to bywa w takich razach, pojawiła się tajemnicza postać, która zaoferowała dostawę ryb w ciągu jednej nocy, prosto do przyklasztornych stawów, za tradycyjną opłatą w postaci duszy. Kiedy opat połapał się, co zrobił, zwierzył się ze strapienia

współbraciom. Gdy diabeł podchodził do lądowania, podstępni mnisi zmusili koguty do piania (zapewne w sposób uznany dzisiaj za znęcanie się nad zwierzętami). W efekcie czart upuścił worek i czmychnął bez zapłaty. Ryby zaś spadły do klasztornych stawów. Bez względu na to, jak było naprawdę, Stawy Milickie należą współcześnie do najcenniejszych miejsc dla ptaków. Podobnie jak wiele innych stawów rybnych w Polsce, w których karp stanowi ok. 80% ryb.

Karp był pierwszą rybą hodowaną przez ludzi i zarazem jednym z najstarszych zwierząt hodowlanych w ogóle. Jego udomowienie miało miejsce w V w. p.n.e. w Chinach. Jak było w Europie? Jedni historycy uważają, że był to proces niezależny od Chin i zaszedł w tym samym czasie, drudzy – że rozpoczął się między

Między VII a XII w. hodowla karpia rozwijała się bardzo intensywnie przy klasztorach, z uwagi na liczne posty.

I a V w. n.e. W tym drugim przypadku nie wiadomo, czy know-how pochodziło z Dalekiego Wschodu, czy mieliśmy własny patent, w każdym razie między VII a XII w. hodowla karpia rozwijała się bardzo intensywnie przy klasztorach, z uwagi na liczne posty, a następnie promieniowała na stawy wiejskie.

Ryby te nieznacznie różniły się od dzikich pobratymców, u nas był to sazan, czyli dzika wersja pochodząca z Dunaju. Do dziś ta rasa jest popularna, jeśli chodzi o zarybienia do celów wędkarskich. Odnacza się większą siłą i walecznością w stosunku do karp hodowlanych, a to te osobniki budzą najwięcej emocji wśród miłośników moczenia kija.

Prawdziwi entuzjaści tej sztuki łapią wielkie karpie, ważą, mierzą i fotografują na specjalnych matach, by ryba w jak najlepszym stanie trafiła ponownie do wody. O ile rozumiem emocje towarzyszące połowom, o tyle nie wydaje mi się, by męczenie ryby tylko dla fotografii i dreszczyku było w porządku. Oczywiście zdarza się, że złapiemy wielkiego osobnika, którego należy wypuścić ze względu na jego niską wartość

spożywczą i jednocześnie dużą wartość reprodukcyjną – większe ryby składają więcej jaj, osiągnięcie pożądanych rozmiarów jest świadectwem wielkiego szczęścia, dobrego zdrowia i genów. Również w naszym interesie jest uwalnianie dużych, silnych i zdrowych ryb, szczególnie zważywszy na stopień degradacji i fatalny stan ryb w naszych wodach. Dotyczy to nie tylko karpia, a nawet w znacznej mierze nie karpia. Tu nadmienię, że u karpia to samice rosną większe.

Wśród innych ras karpia u nas spotykanych dominują łuskowe, o drobnej, równej, równomiernie rozsianej po ciele łusce, i liniowe – o łuskach głównie wzdłuż linii bocznej. Owa linia to nie tylko rząd łusek, pod łuskami kryje się właściwa linia boczna będąca narządem zmysłu.

Dzięki niej ryba wyczuwa prąd przepływającej wody, a to informacja m.in. o kształcie dna, przeszkodzie czy nadpływającym drapieżniku. My też ją mamy, choć tracimy na wczesnym etapie życia płodowego. Ewolucyjnie jesteśmy rybami, ale to temat na inną opowieść. Wśród popularnych ras są jeszcze niemal bezłuskie lustrzenie i zupełnie łusek pozbawione karpie gołe, zwane też golcami. Lustrzenie bywają nazywane karpami królewskimi, dawniej także galicyjskimi, właśnie one są dziełem Gascha, które doczekało się wielu ras potomnych.

Z polskich wątków warto wspomnieć o karpie zatorskim, linii wyhodowanej w okolicy Zatora w południowej Polsce. Hodowla ryb w tym regionie ma już niemal osiem wieków, a jej tajniki były przekazywane z pokolenia na pokolenie, dlatego mieszkańców regionu zwano karpikami. Do dzisiaj hodowla jest tam prowadzona przeważnie tradycyjnymi metodami i na naturalnych paszach, dzięki czemu karp zatorski jest wpisany na krajową listę produktów tradycyjnych. Uznania doczekał się również w UE i został wpisany ▶

► na listę produktów o chronionej nazwie pochodzenia, czyli karpie spoza Zatora i dwóch sąsiednich gmin nie mogą się legitymować jako zatorskie.

Z ciekawostek rasowych: mało kto wie, że popularne w oczkach wodnych karpie koi (a właściwie nishiki-go) to japońska rasa, której początków należy szukać przed 500 laty. W górach Japonii hodowano je w celach spożywczych. Ponieważ na zimę przenoszono je do małych stawów, często zakrywanych deskami, by nie zamarzały, lub do piwnic pod domami, u ryb przebywających w ciemnościach pojawiły się dogodne warunki do utrwalenia mutacji dających jasne barwy. Przed 200 laty Japończycy rozpoczęli świadome próby uzyskania barwnych odmian. O powodzeniu ich przedsięwzięcia

To potężne ryby, mogące dochodzić do metra długości i 35 kg masy (w cieplejszych rejonach nawet więcej). Za pomocą wysuwanego ryjka ryba pobiera pokarm z dna, wycofuje się, a następnie wypluwa i chwytą najszybciej opadające cząstki. Najczęściej to drobne bezkręgowce, ale większe osobniki potrafią zjeść całkiem okazałe ślimaki, twarde nasiona, a w hodowli tradycyjnej podstawą są twarde ziarna zbóż. W nowoczesnej – koncentraty spożywcze, co niestety wpływa na smak mięsa. W ten sposób ryba przekopuje dno. Sam pokarm wędruje do gardzieli, gdzie jest miażdżony potężnymi zębami gardłowymi. Następnie z przełyku trafia do... jelita! Karpie nie mają żołądka, do tego ich pokarm jest trawiony przy użyciu silnych zasad, nie zaś kwasu jak u ludzi.

liczbę miejsc na gniazda (głównie przez usuwanie trzcinowisk) i ilość pokarmu.

Choć sam karp zwykle nie jest istotnym zagrożeniem dla rodzimej przyrody, bywa on trampoliną dla mniej grzecznych gatunków. Z karpami przenoszą się szczeżuje wschodnie, pasożytnicze nicianie i pierwotniaki albo czebaczki amurskie (niewielkie ryby). W gospodarce rybackiej obowiązuje kodeks dobrych praktyk (dostępny na stronach Generalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska), który ma przeciwdziałać przypadkowemu przenoszeniu gatunków ekspansywnych. O ile jest przestrzegany, istnieje niewielkie ryzyko przeniknięcia pasażerów na gapę do środowiska naturalnego.

Niestety, popularna akcja uwalniania karpia, pozytywnie ukazana np. w serialu „Ranczo”, może prowadzić do uwolnienia nie tylko karpia. A nawet głównie nie karpia – zwierzę, które przeszło dość traumatyczny odłów i transport, ma niewielkie szanse na przeżycie, niemal na pewno będzie umierało w cierpieniu długimi tygodniami, a nawet miesiącami. W niskich temperaturach metabolizm i przesyłanie impulsów nerwowych ryb są bardzo wolne, a to sprawia, że odniesione obrażenia będą w znacznie wolniejszym tempie dawały o sobie znać. Pasażerowie na gapę nie mają tego problemu, za to problem będą miały ryby innych, rodzimych gatunków. Choć sam karp w Ameryce Północnej i Australii to gatunek na tyle ekspansywny, że podlega zwalczaniu. Na tym ostatnim kontynencie nie ma tradycji jedzenia karpia, pozyskane zwierzęta przerabia się na naturalny nawóz.

Moja mama zawsze pilnuje, by po wieczery wigilijnej nawet wegetarianin miał w portfelu karpie łuski. Ponoć zapewnia to obfitość pieniędzy. Ten zwyczaj także narodził się w powojennej Polsce, wraz ze wzrostem popularności naszego bohatera. Ot paradoks, czasy walki z przesadami zrodziły nowy zabobon. Jako prosty biolog nie wierzę w działanie łusek, ale mnóstwa pieniędzy Państwu życzę. I żeby to nie była obfitość inflacyjna.

Konrad Malec

Karp najczęściej gościł na stołach inteligenckich i robotniczych, a jego zalety podkreślała przedwojenna lewicowa prasa.

świadczy to, że obecnie znanych jest przynajmniej 120 odmian barwnych, znacznie częściej cieszących oczy niż podniebienie.

Na drugą płetwę

Dlaczego wypuszczanie złowionego karpia niekoniecznie jest dobrym pomysłem? To gatunek u nas obcy, choć na szczęście niezbyt ekspansywny. Ryba ta pierwotnie zamieszkiwała Azję Mniejszą, zlewisko Morza Kaspijskiego i dalej na wschód, po Pacyfik i Japonię. W naszym klimacie późną wiosną wody rzadko osiągają temperaturę 18-20 st. C (poza zanieczyszczonymi termicznie), potrzebną do rozmnażania się karpia, osobniki w wolności pochodzą najczęściej z zarybień. Musimy mieć jednak na uwadze zmiany klimatu, które w niedalekiej przyszłości mogą sprzyjać karpom, a to może być groźne dla rodzimych ekosystemów. Już teraz w miejscach, gdzie karpie występują licznie, dochodzi niekiedy do degradacji dna i wzrostu zamulenia. Wiąże się to ze sposobem żerowania karpia i ich rozmiarami.

Na drugą płetwę, zniszczyliśmy w Polsce większość terenów podmokłych i mokradłowych poza pojezierzami (a i tam stan wód jest daleki od optymalnego). W tej sytuacji stawy rybne są ich substytutem. Na Kurpiach, gdzie mieszkam, są co prawda rzeki, ale nie wszystkim ptakom one odpowiadają. W sąsiedztwie mam też trzy spore gospodarstwa stawowe. To jedne z moich ulubionych miejsc obserwacji ptaków wędrownych i lęgowych. Wiele zagrożonych gatunków lęgnie się obecnie właśnie w takich miejscach, np. podgorzałki, hełmiatki, perkozy rdzawoszy i zausznik, rybitwy czarne, bąki czy coraz częstsze, choć nadal nieliczne, łąbiedzie krzykliwe (o tych ostatnich więcej można przeczytać w PRZEGŁADZIE z 16 sierpnia 2021 r.). Częstymi gośćmi stawów rybnych są bieliki i rybołowcy. Niestety, część tych majestatycznych, rzadkich ptaków ginie z rąk właścicieli stawów, którzy miewają broń i ją wykorzystują. Szczególnie dotyka to rybołowcy, a w tym roku do lęgów przystąpiło 40 par, najwięcej od 20 lat! Nowe sposoby hodowli, zmierzające do jej intensyfikacji, zmniejszają jednak

Rozmawia Dorota Bartosewicz

Ile Polacy przytują w święta i tuż po nich?

– Nawet 3 kg. Przy czym przyjmujemy się, że aby zyskać dodatkowy kilogram, musieliby jednego dnia wchłoniąć 7,1 tys. kalorii.

Dzienne zapotrzebowanie to ok. 2,3 tys. kalorii.

– Dla kobiet 2 tys. kalorii, dla mężczyzn 2,5 tys. kalorii – tak w dużym uproszczeniu, bo wiele zależy tutaj od wzrostu, wagi i np. stylu życia. Poza tym to również kwestie indywidualne.

Czy aby przekroczyć 7 tys. kalorii, trzeba się bardzo postarać?

– A skąd! To wcale nie jest takie trudne. Przecież wystarczy zjeść kilka kremowych ciastek i już mamy 1,5 tys. kalorii. Do tego dwudaniowy świąteczny obiad – kolejne 1,5 tys. kalorii. Nie bez znaczenia jest fakt, że często przyklejamy się do stołu i już od niego nie wstajemy – świąteczne spotkania zaczynają się sporo wcześniej i wydłużają zwykle do Nowego Roku. Dlatego dodatkowe kilogramy nie będą dużą trudnością. Poza tym zapominamy nie tylko o regularnym ruchu, ale także o pić wody. Za to wszystko zakrapiamy alkoholem, który też jest wysokokaloryczny; np. lampka czerwonego wina może mieć nawet 200 kalorii. A jakby tego było mało, stale coś podjadamy między posiłkami. Z badań CBOS wynika, że przyznaje się do tego 75% Polaków, a co piąty robi to codziennie. Efekt – dynamika przyrostu osób z nadwagą i otyłych jest ogromna.

Gonimy pod tym względem Stany Zjednoczone.

– Połowa naszego kraju już boryka się z nadwagą, a 25% Polaków jest otyłych. Co więcej, już co czwarte dziecko ma z tym problem. Badania z 2018 r. mówiły wprost, że 25% trzylatków już ma nieprawidłową masę ciała. Centrum Zdrowia Dziecka wraz z Instytutem Kardiologii biją na alarm – społeczeństwo jest chore, bo otyłość jest chorobą, i będziemy mieli poważny problem nie tylko zdrowotny, ale również społeczny i ekonomiczny.

Dlaczego tak trudno nam w święta oderwać się od talerza?

Święta (nie) kręcą się wokół talerza

W towarzystwie nałożymy sobie 15% więcej jedzenia



ELŻBIETA LANGE

– psychoterapeutka i psychodietetyk.

Współzałożycielka Fundacji Kobiety bez diety, której celem jest przeciwdziałanie opresji odchudzania i przemocy wobec ciała. Autorka książek, m.in. „Nie tłucz się dietami” i „Emocje na talerzu”.

– Nierzadko stoi za tym fałszywy głód.

Czyli?

– Mechanizm radzenia sobie z trudnymi emocjami. Prosta definicja głodu mówi, że to informacja: kończy się zapas energii, trzeba ją uzupełnić, by organizm nadal mógł funkcjonować. Ciało wysyła wtedy sygnały w postaci skurczów ścian żołądka, poczucia osłabienia, ssania poniżej mostka. A jeśli doprowadzamy do bardziej

skrajnego głodu, to mamy problemy z koncentracją, bóle głowy, burczy nam w brzuchu. Tyle że niekiedy ta granica się zaciera i bardzo dużo osób je, nawet gdy nie czuje głodu fizycznego. I to właśnie fałszywy głód.

Jak on dokładnie działa?

– Wystarczy, że coś zjemy, i natychmiast poprawia się nam nastrój. A jeśli dodatkowo będzie to coś tłustego, słonego lub słodkiego, bardzo szybko oddziałuje to na ośrodek ►

► nagrody w mózgu, bo niemal od razu aktywowany jest neuroprzekaznik zwany dopaminą. W ten sposób staramy się maskować bardzo różne stany – tu nie chodzi tylko o złość, wstyd, poczucie winy, ale też o bezradność – żyjemy w czasach, kiedy musimy dawać sobie radę ze wszystkim, wszystko wiedzieć i być dzielni. Albo o nudę – dobrze jest przecież podkręcić sobie dzień oryginalnym daniem.

Jakie jeszcze są to emocje i stany?

– Napięcie, zmęczenie, niewyspanie. W każdym z tych przypadków jedzenie staje się destrukcyjną formą regulowania emocji, plasterkiem na wewnętrzny ból, a poprzez taką rolę jedzenia nie możemy zaspokajać swoich prawdziwych potrzeb. Przecież jeśli nie jesteśmy głodni, tylko smutni, być może potrzebujemy pożyć w tym smutku i popłakać. Ale na pewno nie jeść. Jeżeli jesteśmy wściekli – wyrazić tę złość. Nie jeść. Podam przykład: do mojego gabinetu przychodzi dużo kobiet, które mają swoje wieczorne rytuały. Wcześniej cały dzień pracują, ogarniają dom, dzieci i ich lekcje. W przypadku świąt obowiązków im przybywa i tym łatwiej zapominają o sobie. Mają więc ogromną trudność ze znalezieniem chwili dla siebie. „Za to przed pójściem spać siadam sobie sama, jest już tak cicho, nic nie muszę, wtedy stawiam przed sobą pyszne jedzonko, coś do picia i mogę sobie spokojnie zjeść”, opowiadają, a ich historie są do siebie podobne.

Ale potem okazuje się, że wcale nie o jedzenie chodzi.

– Tak! Raczej o potrzebę odpoczynku, odsapnięcia, pobycia ze sobą w ciszy. Do czego wcale nie jest potrzebne jedzenie. Ale ponieważ kobietom trudno zaspokajać swoje potrzeby, tak jesteśmy wychowane, jedzenie staje się doskonałą wymówką. **Gdy przyjdzie mąż i pyta: „Co robisz?”, odpowiem: „Przecież jem”.**

– Jakby trudno było powiedzieć: „Odpoczywam sobie. Jestem zmęczona. Napracowałam się cały dzień. Mam prawo. Mogę”.

Jednak same święta to czas wolny, niczego już nie musimy – to skąd się bierze ten fałszywy głód i zajądanie emocji?



– Tutaj można mówić o czterech głównych czynnikach. Pierwszy: przyzwolenie społeczne – wszyscy tak robią, to i ja mogę. Święta stają się rozgrzeszeniem, okolicznością łagodzącą, przyzwoleniem na odejście od reżimu dietetycznego i popuszczenie pasa. Tym bardziej że wiele osób odchudza się w ciągu roku w sposób przemocowy – są niekończące się zakazy i nakazy: „Trzeci obiad muszę dla siebie gotować”, „Dodatkowe zakupy zrobić” itd.

Polacy przytują w święta nawet 3 kg.

Czyli: „OK, teraz mogę. Przecież są święta”?

– I tak będzie brzmiała w święta wiadomość dla wewnętrznego krytyka, który stale mówi z kolei: „Musisz schudnąć”, „Nie wolno ci tego, nie wolno tamtego”, „Zobacz, jak ty wyglądasz!”. Najczęściej dotyczy to osób, które w ciągu roku nie jedzą regularnie i nie mają dobrego kontaktu z ciałem. Stąd obsesja nadrobienia straconego czasu.

Drugi czynnik to stres, robienie świąt na akord, przebodźcowanie. Tu główna zależność polega na tym, że jeśli jesteśmy w nerwach, to mamy tak wysoki poziom kortyzolu i adrenaliny, że odcinamy się od swojego ośrodka głodu. Nie czujemy. Zaniedbujemy. Zapominamy o sobie.

A potem, kiedy kończy się świąteczna biegania...

– ...i poziom kortyzolu opada, dopiero zaczynamy odczuwać sygnały

płynące z ciała. W związku z czym głód jest tak nieznosny, że zaczynamy nadrobić cały ten czas. Czyli nie wstawiamy od stołu albo lodówka się nie zamyka.

A trzeci czynnik?

– System rodzinny i komunikaty z dzieciństwa. Są domy, w których panowało przekonanie, że jeśli wszyscy są najedzeni, to wszystkie potrzeby są zaspokojone. Co oczywiście jest nieprawdą. Na to nierzadko nakładała się duża koncentracja wokół jedzenia i komunikaty typu: „Zjedz do końca”, „Jedzenia się nie wyrzuca”, „A teraz za mamusię, za

tatusia”. Inna rzecz, że czasami w rodzinie występują tzw. traumy transgeneracyjne – np. trauma babci, która głodowała podczas wojny, też może być przyczyną tego, że w systemie rodzinnym pojawił się temat emocjonalnego jedzenia. Nie tylko od święta.

I czwarty czynnik: ewolucja, która wyposażała nas w zdolność doświadczania przyjemności. Instynkt objadania się bogatym w kalorie pożywieniem jest wpisany w nasze geny. W święta zatem, jak zawsze, chętniej wybieramy produkty bogate w tłuszcze i cukry, bo one dostarczą największej kalorii i pomogą przeżyć.

Emocje – to już wiemy, ale co jeszcze wpływa na to, że w święta jemy więcej?

– Odpowiadając najkrócej, sposób i okoliczności jedzenia. W tym hałas – dowiedziono, że im głośniejsze, tym bardziej kaloryczny będzie sam posiłek, głównie dlatego, że wysokie dźwięki

zwiększają intensywność smaku umami. Konsystencja – im coś będzie nam się wydawało lżejsze, tym więcej tego zjemy. Zapach – on również będzie uruchamiać chęć sięgnięcia po kolejną porcję. Podobnie jak sama dostępność jedzenia. Dalej: towarzystwo – jeżeli jest, nałożymy sobie 15% więcej jedzenia. A jeśli jeszcze usiądziemy blisko kogoś, kto lubi sobie dogadzać, pewne jest, że pochłoniemy aż 30% więcej. Swoje robią także inne rozpraszacze – telewizor, radio, telefon. One powodują, co też dowiedziono w badaniach, że jemy o 20% więcej. Bo wtedy znów mniej się kontrolujemy.

Co zrobić, by święta nie kręciły się wokół jedzenia?

– Mniejsze talerze – to one mogą być na początek dobrym pomysłem. Pamiętaj, by nakładać na nie małe porcje, a najlepiej zacznij od mała kalorycznych przystawek i zup, by wypełnić żołądek. Śledziki, barszczyk, sałatka i już tym się nasycisz. I jest szansa, że zjesz mniej ciasta i tłustych potraw. Przydatne, a nie odbiera przyjemności. Umów się przy tym ze sobą, że jesz tylko słodkości de luxe. Byle czym się nie zadowalasz. Nie wszystkim, co jest na stole. Wyłącznie tym, co jest wspiane. Pomijasz całą resztę.

I pamiętaj: kolejny kawałek sernika zawsze smakuje tak jak pierwszy.

– Tak! (śmiech). Do tego pij napary, herbatę, ciepłą wodę, bo chodzi i o to, by rozgrzać żołądek. Sięgnij po kompot z suszu – jest nie tylko niskokaloryczny, ale i poprawi perystaltykę jelit. Przyprawy też są pożądane, by trawienie było lepsze.

Zostaw coś na talerzu. Mniejsze będzie ryzyko, że ktoś zaproponuje ci dodatkę. To może być nawet niewielka porcja sałatki – radzą dietetycy.

– Poza tym jedz w ciszy i wolniej. Pamiętaj, że wiele hormonów regulujących sytość wydziela się dopiero 15-20 minut po jedzeniu. A co za tym idzie, zwracaj większą uwagę na sygnały płynące z ciała. Odstaw talerz, jak tylko poczujesz sytość – żołądek ma trzy ustawienia: jestem głodny, najadłem się, ale mogę więcej, przejadłem się. Ten drugi to moment, w którym należałoby zrobić dłuższą

przerwę. Nie musisz przecież jeść na czas ani wszystkiego naraz. Wstań od stołu, poruszaj się, pospaceruj, porób zdjęcia, pozmywaj naczynia. Cokolwiek.

Co jeszcze mogę zrobić, by w te święta się nie przejadać?

– Jeśli nadal siedzisz przy stole, przesiądź się tak, by nie mieć koło siebie łasucha, albo by było ci trudniej sięgnąć po kolejną dodatkę. Delikatnie – ale nadal kulturalnie, by nikt się nie obraził – odsuń od siebie wszystkie talerze.

„Mam nadal tak wielką ochotę na ten kawałek makowca. Zjem, choćbym miała pęknąć”. A temu jak się nie dać?

– Możesz powiedzieć głośno: „Nie jestem głodny/głodna, ale i tak to zjem”. Czasem to wystarczy, by się zatrzymać, bo z natury jesteśmy przekorni. „Ale zaraz, czy ja na pewno

Często przyklejamy się do stołu i już od niego nie wstajemy – świąteczne spotkania zaczynają się sporo wcześniej i wydłużają do Nowego Roku.

tęgo potrzebuję, to przecież już piąty kawałek, czy ja przypadkiem nie przesadzam? Może będę źle się czuć?”. Może to również brzmieć: „Mam ochotę na to cholerne ciastko z jakiegoś powodu. Ale może warto się powstrzymać?”. Swoim pacjentom radzę np. przykleić na lodówce karteczkę: „Jak nie jestem głodna, to i tak nie znajdę tam tego, czego szukam”. To też może się okazać pomocne.

A jeśli nie?

– U niektórych nie ma hamulca bezpieczeństwa – nie są nim nawet ból brzucha i wymioty. Dlatego nie istnieje złota porada – inaczej zresztą nie pracowałabym w zawodzie. Problem jest dużo bardziej złożony, niż może się wydawać. Ale możemy także próbować nauczyć się rozróżniać głód fizyczny i emocjonalny.

Jak?

– Ten pierwszy uderza poniżej mostka, narasta stopniowo – jak zjemy śniadanie, to dopiero po kilku godzinach będziemy głodni. Poza tym ustępuje po najedzeniu się. A jeśli zjedliśmy zdrowo, mamy poczucie, że o siebie zadaliśmy, co z kolei wiąże się z uczuciem zadowolenia, sytości,

błogości, jest nam miło i przyjemnie. Nie pojawiają się trudne emocje.

A ten drugi głód?

– Głód emocjonalny najczęściej pojawia się nagle i objawia tzw. smakiem w ustach. Mamy poczucie, że coś byśmy zjedli, ale albo nie wiadomo co, albo jest to coś bardzo konkretnego. „Mam ochotę na czekoladę” lub „Słone chipsy tak za mną chodzą od kilku godzin”. Najczęściej wiąże się on właśnie z produktami słodkimi, tłustymi lub słonymi. Rzadziej z ostrymi, choć i tu zasada jest ta sama. Ostre potrawy zawierają kapsaicynę odpowiedzialną za pikantny smak, co docelowo stymuluje wytwarzanie endorfin. Po zjedzeniu czegoś ostrego organizm dostaje sygnał o wewnętrznym poparzeniu i uruchamia sygnały łagodzenia bólu. Jednym z nich jest wyrzut hormonów szczęścia – dopamina znów zaczyna działać.

Inna rzecz, że głód emocjonalny trudno kontrolować.

– Zgoda! To nieodparte wrażenie. On nie ustępuje mimo sytości – a przecież jeśli jesteśmy najedzeni albo posiłek główny był godzinę temu, to nie ma takiej możliwości, byśmy znowu potrzebowali coś zjeść. O inną potrzebę zatem tu chodzi. Fałszywy głód wiąże się poza tym z nieprzyjemnymi emocjami – nawet jeśli przez chwilę pojawi się błogość, to potem będą także poczucie winy, wstydu, krzywdy, złość na siebie. Towarzyszą temu różne zniekształcenia poznawcze: „Znów to zjadłam, po co mi to było?!”. Czasami nawet bardziej dosadne, przemocowe, wulgarne: „Jestem świnia”, „Jestem beznadziejna, znowu się nażarłam”.

Dlatego tym, co możemy jeszcze zrobić tu i teraz, jest przyglądanie się nawykowi – kiedy jem i w jakich okolicznościach, musimy również mieć kontakt z ciałem, zadbać o swoje potrzeby. I przede wszystkim pamiętać, że to nie my mamy ciało, ale nasze ciało ma nas. Tak jak nie my mamy dzieci, ale nasze dzieci mają nas.

Dorota Bartosewicz



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- przystosowywanie się do nowych warunków
- cyrkówka gimnastyczka
- mniejsza od lamy
- ciekawy wobec słowa wycieka
- kananejska bogini, siostra Baala

- dama z najwyższych sfer
- okazywane szczególne względy, szacunek
- satyna rodzajem tej tkaniny
- istnienie, życie
- o przesadnym podrywacz, kobiecie

- kasa za zagranie Legolasa
- i ptak, i pękata butla
- stolarskie trzymadło
- film z Lollobrigida i Connerym jak amatorka knucia
- pokój stołowy
- polska marka ciężarówek, autobusów
- megiera, wiedźma
- pałak
- np. Gryzonia w Szwajcarii
- kłaść go czemuś – kończyć coś
- matacz, lawirant
- „...czyli domyślność serca” z 1816 r.

- można zając zaszczytne lub ostatnie
- wznoszone, by zostały wysłuchane
- ma miękkie, opadające na zimę igły
- za umówiony czynsz
- miliardowa część sekundy
- Galba po nim cesarzem
- plakał jak auto sprzedawał?
- zmienna w obiektywie zoom
- roślina w zielniku, motyl w gąblocie
- do aplikacji smaru w trudno dostępne miejsca
- myśliwy przeniesiony między gwiazdy
- piskłę pierwszego z dwóch następnych

- i ptak drapieżny, i bystrzak
- narodowość Marusi
- skrzyżowanie dróg, rozstaj
- o tyczce albo w bok
- odnajmowana uczniom, studentom
- huczone lub w kameralnym gronie
- medyczne zwitki gazy, waty
- „Co powie...” Natalii Kukulskiej
- kraina z Fromborkiem, Braniewem
- „była polska... zaciszna”
- barwny w oknie kościoła
- awantury, bójki lub postępowania
- samochód może w niej ugrzęznąć zimą
- jachting

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

.....

imię i nazwisko:

.....

adres:

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

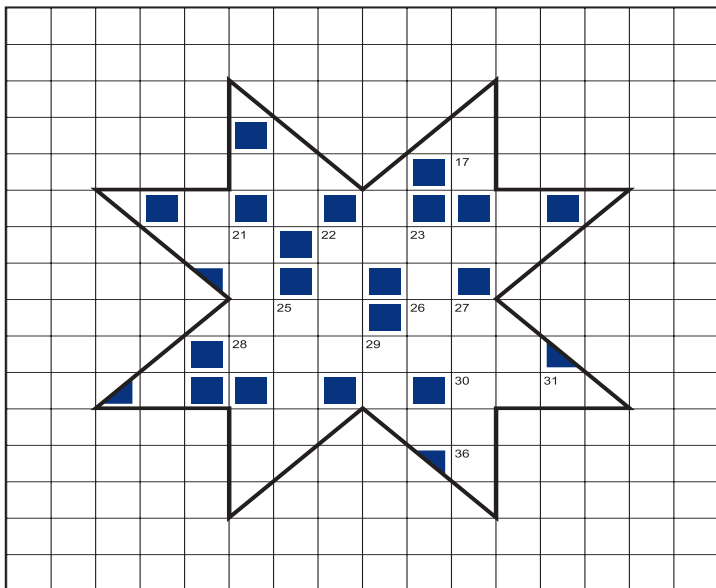
data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1096”. Do rozlosowania książki „Sztuka w afekcie” ufundowane przez Wydawnictwo Arkady. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 26 grudnia 2022 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1093” z nr. 49: Otwarte ręce często są puste.
Nagrody otrzymują: Agnieszka Gilarska z Mszczonowa, Ryszard Kiełczewski z Tychów, Stanisław Sawicki z Wydmín.

KRZYŻÓWKA Z GWIAZDKĄ



Rozmieszczenie części numerów i zaciemnionych pól w diagramie należy ustalić samemu.

Poziomo:

- 1) ...foremny to trójkąt, kwadrat
- 10) kosmopolita, czyli ...świata
- 11) tekścik w gazecie
- 12) zabawia dzieci urlopowiczów
- 16) ostrzega kierowcę, że policja czyha
- 17) klatka filmowa
- 18) nazębny, by leczyć krzywy zgryz
- 22) pacnięcie kropki z kranu
- 24) trochę słownik, trochę encyklopedia
- 26) pechowiec użyje jak pies w niej
- 28) o gramofonie
- 30) druga strona monety, medalu
- 33) grafik, rozplanowanie czynności
- 36) Jasnowłosa, wypita napój miłosny
- 37) oficjalne zaprzeczenie
- 38) wywołana brakiem siły ciężenia
- 39) aktorka od ról kochanek

Pionowo:

- 2) stworzonko
- 3) internistka lub okulista

- 4) śpiewane w Boże Narodzenie
- 5) obrabiarka skrawająca
- 6) rezultat, efekt
- 7) pęknięcie w kąciu ust
- 8) ani plus, ani minus na termometrze
- 9) wróżba lub kłopoty
- 13) z francuska zadbanie o paznokcie
- 14) szturchanie, kuksanie
- 15) rozkwit, odrodzenie
- 19) ...zwycestwa ciężąca na faworycie
- 20) podstawa apartheidu
- 21) o wysokim jak podpora chmielu
- 22) placą nią Chorwaci
- 23) dlatego na wigilię ryby
- 25) żdziebko, ociupina
- 27) cargo lub pasażerski – część lotniska
- 29) „Polaków... własny”
- 31) usuwane, by mieć gładkie nogi
- 32) głupiemu z obietniczek cacanek
- 33) lernejska pokonana przez Heraklesa
- 34) teatralna lub pomost przeładunkowy
- 35) szata księdza podczas mszy

SŁÓWKA

Na podstawie czterech podanych wyrazów należy odgadnąć pięcioliterowe słowo. Litera na zielonym polu oznacza, że w odgadywanym wyrazie zajmuje ona to samo miejsce, a litera na żółtym polu – że inne. Litery na białych polach w szukanym wyrazie nie występują.

A	K	T	O	R
S	Z	T	A	B
Z	A	M	Ę	T
O	B	R	A	Z

A	S	T	E	R
U	K	Ł	A	D
K	Ł	A	K	I
Ł	A	Z	I	K

ROZRYWKA

SUDOKU

Należy uzupełnić diagram, tak aby w każdym rzędzie, w każdej kolumnie i w każdym kwadracie 3 x 3 znalazło się 9 różnych cyfr od 1 do 9.

ŁATWE

9	4		6					5
6		3	2	7		8		9
1	8			3			2	
5	3		7	8		1		
	2				6		8	
8								3
7				4				1
		4			7			6
2					3	4		

ŚREDNIE

		3		4		9		
8						4		
	7	4		2			1	
					4		6	
		5	9					1
			3	6				8
3		6	2				9	4
	9							6
		1	6	8		3		5

TRUDNE

							1	
	9	2			7			
1	5		8		6		9	2
	3		4	1			6	8
9	4							5
	8	6	7					
3						6	4	
		7						3
5	6			4	8		2	

PIEKIENNIE TRUDNE

2		3						
			3				7	
	6		9			5		
			7		1		6	5
3	8		5	9			1	
				3				
	1			2		8		
		7		6	5			1
	4			7				3

Rozwiązania na s. 64

Turysta. Ale jaki!

No i teraz oburzać się czy klaskać? Bo z takiej kategorii jest nominacja Krzysztofa Grzelczyka na stanowisko ambasadora RP w Macedonii Północnej.

Najpierw oklaski. Otóż zapytano go, dlaczego idzie na tego ambasadora, skoro nigdy nie pracował w dyplomacji (był dwa razy konsulem) i nigdy nie zajmował się Bałkanami. Na co Grzelczyk odpowiedział z rozbijającą szczerością: „Znam Bałkany z pozycji turysty, bo na żadnej misji tam nie byłem, tak to wygląda”. Wielkie zatem brawa dla naszego bohatera za jasne postawienie sprawy: nie zna się na tym, co będzie robił, ale robił w życiu tyle rzeczy, że może i to.

Historia Krzysztofa Grzelczyka jest barwna i dowodzi przynajmniej dwóch rzeczy. Po pierwsze, że warto zaangażować się w politykę, bo zawsze będzie się miało kolegów, którzy pomogą. Po drugie, że MSZ to zasób synekur, taka kasa zapomogowa dla zasłużonych.

Ta polityka, o której wspomnieliśmy, dopadła Grzelczyka jeszcze na studiach. Działał w Studenckim Komitecie Solidarności we Wrocławiu, potem w NZS. No i podczas stanu wojennego był internowany. Potem w 1985 r. wyjechał do Kanady. Ale tam się nie zakotwiczył, więc w roku 1992 wrócił do Polski.

Od tego czasu rozpoczęła się jego kariera na różnych kierowniczych, dyrektorskich stanowiskach w rozmaitych instytucjach, które łączyło jedno – ich obsada zależała od polityków. Pracował zatem w dolnośląskim urzędzie marszałkowskim, był w Urzędzie Miejskim Wrocławia dyrektorem Biura Współpracy

z Zagranicą, a potem już związał się z PiS i było mu łatwiej. Za pierwszego PiS był wojewodą dolnośląskim. Gdy tamto PiS upadło, został zastępcą dyrektora wrocławskiego oddziału IPN. W 2015 r. startował z listy PiS do Senatu. Przegrał. To jednak otworzyło mu inne drogi – bo najpierw został kierownikiem wydziału konsularnego w Londynie, a potem, w latach 2017-2021, konsulem generalnym w Toronto.

I tak dotrwał do emerytury. Ale widocznie uznał, że sił mu nie brakuje – więc MSZ pochyliło się nad losem 65-latką, oferując mu placówkę. Być może w małym kraju, być może małą, ale też, nie czarujmy się, działacz z tego Grzelczyka niewielkiego formatu.

Z punktu widzenia MSZ jego nominacja jest bez sensu, to pieniądze wyrzucone w błoto. Bo jak nazwać ambasadorską nominację dla człowieka, który nigdy w dyplomacji nie pracował, zaliczył tylko dwie placówki konsularne i nigdy nie zajmował się sprawami państw bałkańskich? Do tego, co także wiadomo, niczego już się nie nauczy, niczego do MSZ nie wniesie – bo urodził się w roku 1957, ma ukończone 65 lat i to jest jego pierwsza i ostatnia placówka. Jedzie tam, by podreperować sobie samopoczucie, ewentualnie domowy budżet.

Jest w tym jakaś przewrotność historii. Grzelczyk, gdy był młodzieńcem, zapewne oburzał się na system nomenklatury, na to, że partyjne koneksje są ważniejsze niż umiejętności, na Polskę dla kolegów i dla plebsu. I proszę, jak owo oburzenie skonsumował...

Attaché



Półfinałowy mecz między Francją a Marokiem oglądany w sklepie z herbatą w stolicy Kataru. 14 grudnia 2022 r.

PENETRACJE

odra

**PROF. STANISŁAW
NICIEJA,**
UNIwersytet Opolski

Moja „Kresowa Atlantyda” powstaje dzięki wielkiej cierpliwości i ofiarności mej żony i mojego wydawcy. Głównym celem tego cyklu jest uchronienie od niepamięci czynów, faktów i nazwisk dziesiątków tysięcy ludzi, i to nie arystokratów i wyniosłych sobiepanów, ale właśnie częstokroć chłopów, rzemieślników, wiejskich proboszczów i nauczycieli, lekarzy, samorządowców, małomiasteczkowych restauratorów i cukierników, producentów buraków i maku, nafciarzy i torfiarzy, mistrzów i czeladników kamieniarskich itp. Przeważają w tych zapisach biograficznych Polacy, bo piszę do polskiego czytelnika, ale ukazują też Huculów, Bojków, Ormian, Czechów i Żydów.

Trybuna

**PROF. TADEUSZ
KLEMENTEWICZ,**
POLITOLOG

Historia zatoczyła koło: znów jesteśmy montownią dla korporacji centrum, polski biedabiznes przejmuje usługi, zlecenia na dostawę części zamiennych, elita specjalistów obsługuje filie zagranicznego kapitału, zwłaszcza w sektorze finansowym, a adepci studiów wyższych mogą wykazać przydatność wszelkich certyfikatów w mordorach. Wypełniają w nich często gęsto tabelki Excela i załatwiają reklamacje klientów z całego świata.

zwierciadło

MAGDA MOŁEK,
DZIENNIKARKA,
PODCASTERKA,
YOUTUBERKA

Kiedy patrzę na moje koleżanki, które biorą mikrofon do ręki i zadają celne, inteligentne pytania tym okropnym politykom, to je podziwiam. Ja bym tak nie umiała, przegrałabym to w pierwszej sekundzie. Mój zawód nauczył mnie, że pod tą warstwą makijażu, misternie przygotowanych fryzur i strojów zawsze kryje się jakaś wrażliwość i jakaś, często przykra i trudna, historia. I dopiero jak zmyjemy podkład, zdejmujemy kostium i rozprostujemy loki, docieramy do prawdy o człowieku. To, co dostajemy w wersji de luxe, jest jedynie jej częścią, wizerunkiem, o który teraz tak często pytam na swoim kanale.

STYL

KAROL STRASBURGER,
AKTOR

Miłość młodzieńcza jest powierzchowna, seksowna, zmysłowa, związana z wyglądem i pożądaniem. Jest na pokaz. Niczym wizytówka, którą chcemy pokazać innym. W młodości żyjemy bardziej dla innych niż dla siebie. Lubimy się pochwalić, popisać. Po to kupujemy drogie zegarki, samochody, nieruchomości. Po latach to się zmienia. Co mieliśmy zdobyć, zdobyliśmy, przestajemy się porównywać i zaczynamy żyć dla siebie. Wtedy kobieta jest dla mnie, nie na pokaz. Nie jest trofeum, tylko partnerką w życiu.

Aby język giętki...

LECH WAŁĘSA O ANDRZEJU DUDZIE

Prezydent Duda, czy to w czasie wojny, czy pokoju, jest tak mocny w gadaniu, jak słaby w działaniu.

PROF. KRZYSZTOF OBŁÓJ

– JAK TERAZ ŻYĆ

W tej chwili zaczynamy płynąć pod prąd – trzeba ograniczyć ryzyko i redukować koszty. Nikt nie mówi o rozwoju, bo na wojnie trzeba przetrwać.

PROF. ROCH SULIMA

O ŚWIĘTACH Z RODZINĄ

Zdarzało mi się, że przy kominku widziałem prawie każdego członka rodziny z „modlitewnikiem” w ręku, czyli wpatzonego w smartfona.

AGNIESZKA HOLLAND

O MINISTERSTWIE KULTURY

Dużo pieniędzy idzie na propagandę i korupcyjną działalność narodowych fundacji, które rosną jak grzyby po deszczu, a nie wiadomo, co robią.

MAXIMILIEN SEWERYN

O POLSKIEJ KUCHNI

Kiedy mam już dość francuskich specjałów, przyjeżdżam tu tylko dla pierogów z mięsem. Szukam jakiegoś baru mlecznego i odkrywam je w nowym wydaniu.

EDYTA OLSZÓWKA

O KOMEDIACH ROMANTYCZNYCH

Dla dorosłych są tym, czym dla dzieci bajki. Uspokajają i utulają.

EWA WANAT O SEKSIE

Moje pokolenie pieprzyło się na pielgrzymkach do Częstochowy. Byłam dwa razy, więc wiem, o czym mówię.

WIKTOR ZBOROWSKI O MAŁŻEŃSTWIE

Co jakiś czas całkowicie się zmieniamy i to wymaga nowych kompromisów.

MARIA PESZEK O OJCU JANIE

Kiedyś czesał mnie do przedszkola i nie udawało mu się zrobić równych kucyków po obu stronach głowy. Zostawił mi jeden nad czołem, mówiąc: „Symetria jest pięknem idiotów”.



Znalezione kanistry mały Palestyńczyk spróbuje odsprzedać. Strefa Gazy, 12 grudnia 2022 r.



O dwóch takich, co nic nie ukradły

Jednojałowe bliźniaczki, które w związku z niemal identycznymi odpowiedziami na egzaminie oskarżono o ściąganie, wygrały 1,5 mln dol. zadośćuczynienia za zniesławienie. Uniwersytet Medyczny Karoliny Południowej orzekł, że Kayla i Kellie Bingham musiały się kontaktować podczas testu kończącego rok nauki, gdyż tak samo odpowiadały na 296 z 307 pytań. Siostry z powodzeniem odwołały się od wyników dochodzenia, a także złożyły pozew przeciwko uczelni. Ława przysięgłych stanęła po stronie rodzeństwa, na którego korzyść przemówiły m.in. badania pokazujące, że osoby identyczne genetycznie często podobnie wypadają w testach poznawczych. Chcecie się założyć, że panie wydadzą swoje części rekompensaty w taki sam sposób?

Władza, co lud odmładza

Korea Południowa przyjęła przepisy, dzięki którym w 2023 r. jej mieszkańcy staną się młodsi. Otóż we wspomnianym kraju przyjęto się, że każdy w momencie urodzenia ma rok, a następne lata dodaje się do jego wieku zawsze 1 stycznia. Na potrzeby ustalenia momentu, od którego dana osoba może legalnie kupować alkohol lub podlegać obowiązkowi służby wojskowej, wiek liczy się już od zera, ale każdy kolejny rok jest dodawany nazajutrz po sylwestrze. Zgodnie z nowymi regulacjami we wszystkich sferach życia będzie obowiązywał międzynarodowy standard, wedle którego noworodek ma zero lat, a starzejemy się o rok dopiero w dniu urodzin. Chyba wolelibyśmy zasadę, że na liczniku przybywa nam co dwa, a najlepiej co trzy lata...



ROZWIĄZANIA

AKTOR
SZTAB
ZAMĘT
OBRAZ
BRZEK

ASTER
UKŁAD
KŁAKI
ŁAZIK
SZKŁA

W	I	E	L	O	K	A	T	W	Z	Z
K	S	E	O	O	B	Y	W	A	T	E
A	R	T	Y	K	U	L	I	K	N	J
B	O	A	E	A	N	I	M	A	T	O
A	N	T	Y	R	A	D	A	R	K	A
L	K	K	Y	K	N	A	N	A	N	
A	P	A	R	A	T	K	A	P	N	I
R	A	Y	U	O	C	A	S			
L	E	K	S	Y	K	O	N	S	T	U
S	I	A	D	A	P	T	E	R	I	N
J	Z	R	O	R	E	W	E	R	S	
H	A	R	M	O	N	O	G	R	A	M
Y	A	R	B	T	I	Z	O	L	D	A
D	E	M	E	N	T	I	R	N	S	O
R	P	A	N	I	E	W	A	Z	K	O
A	M	A	N	T	K	A	T	L	I	C

Apka dla Mruczka i Ciapka

Polacy stworzyli aplikację dla właścicieli kotów i psów, która dobiera najlepszą karmę, biorąc pod uwagę m.in. wagę, wiek, przebyte choroby i ruchliwość pupila, no i budżet przewidziany na jego wikt. Co ważne, Appet została opracowana przy udziale naukowców z Uniwersytetu Przyrodniczego w Lublinie. Jej twórcy podkreślają, że w Polsce nieprawidłowo żywionych jest ok. 70% zwierząt domowych. Może warto z nimi o tym porozmawiać w najbliższą Wigilię?

ŁATWE

9	4	2	6	1	8	7	3	5
6	5	3	2	7	4	8	1	9
1	8	7	9	3	5	6	2	4
5	3	6	7	8	9	1	4	2
4	2	1	3	5	6	9	8	7
8	7	9	4	2	1	5	6	3
7	6	8	5	4	2	3	9	1
3	1	4	8	9	7	2	5	6
2	9	5	1	6	3	4	7	8

ŚREDNIE

1	5	3	7	4	6	9	8	2
8	6	2	1	9	3	4	5	7
9	7	4	8	2	5	6	1	3
2	3	8	5	1	4	7	6	9
6	4	5	9	7	8	2	3	1
7	1	9	3	6	2	5	4	8
3	8	6	2	5	7	1	9	4
5	9	7	4	3	1	8	2	6
4	2	1	6	8	9	3	7	5

TRUDNE

8	7	3	9	2	4	5	1	6
6	9	2	1	5	7	3	8	4
1	5	4	8	3	6	7	9	2
7	3	5	4	1	2	9	6	8
9	4	1	6	8	3	2	7	5
2	8	6	7	9	5	4	3	1
3	2	8	5	7	1	6	4	9
4	1	7	2	6	9	8	5	3
5	6	9	3	4	8	1	2	7

PIEKIELNIE TRUDNE

2	5	3	6	4	7	1	8	9
1	9	4	3	5	8	2	7	6
7	6	8	9	1	2	5	3	4
4	2	9	7	8	1	3	6	5
3	8	6	5	9	4	7	1	2
5	7	1	2	3	6	9	4	8
6	1	5	4	2	3	8	9	7
9	3	7	8	6	5	4	2	1
8	4	2	1	7	9	6	5	3



DANIA Z GÓR

Kiedy ruszymy na narty w słowackie Tatry, warto wiedzieć, czym i gdzie można się posilić.

Haluszki – bryndzowe i furmańskie

Haluszki (słow. *bryndzové halušky*), czyli kluseczki, które znajdziecie w każdej kolibie, restauracji i schronisku, to chyba flagowe danie kuchni słowackiej. Najczęściej polane są gęstym sosem na bazie owczego sera bryndza, udekorowane kleksem kwaśnej śmietany i szczypiorkiem. Często podawane są także okraszone podsmażoną kielbasą lub boczkami, wtedy jest to wersja furmańska (*furmanské halušky*). Jest to bardzo syte danie – cała porcja tylko dla prawdziwych głodomorów.

Gdzie najlepsze? Wszędzie!

Pierogi z bryndzą

Słowackie pierogi z bryndzą (*bryndzové pirohy*) są podobne do klasycznych ruskich, jedynie zamiast białego twarogu do masy ziemniaczanej Słowacy dodają wszechobecną bryndzę. Najczęściej także podawane są z kleksem kwaśnej śmietany, okrasą z boczku i szczypiorkiem. Polecane jako alternatywa dla haluszków. Tym bardziej że jest to mniej syte danie, gdyż pierogi w wersji słowackiej są mniejsze niż nasze rodzime odpowiedniki.

Gdzie najlepsze?

Okolice Starego Smokovca,
Nowej Leśnej i Zuberca.

„Na Szczybie. Magazyn Ludzi Gór”, nr 6 (26), listopad 2022

na  szczybie



FOT. SARKA FARKA (2), PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:

Paweł Dybicz e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego:

Roman Kurkiewicz e-mail: r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Robert Walenciak e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:

Joanna Wielgat e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogotkiewicz

e-mail: a.gogotkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),

Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),

Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek,

Jakub Katulski, Leszek Konarski (Kraków),

Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),

Maja Markłowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,

Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogódowski,

Jan Ordyński, Rafał Piłkuła, Maciej Polkowski,

Eliza Sarnaacka-Mahoney, Michał Sobczyk,

Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),

Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz,

Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyński, Andrzej Werblan,

Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,

Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,

Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski,

Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,

Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotodorytzy: Magdalena Gluska, Rafał Pyznar

Fotoreporter: Krzysztof Zuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych:

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.

07-200 Wyszaków, ul. Pułtuską 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WPKPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Krzysztof
Stepiński,
Sceny rodzaju
męskiego

Monika
Bartczak,
Autoportret



Franciszek Promiński,
Uwolnienie



Anna Frydych,
Chów przemysłowy
to cierpienie

UpComing

Wybrane Dyplomy Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie

Po raz 14. na wystawie można zobaczyć prace dyplomowe z minionego roku akademickiego, w tej edycji autorstwa 26 absolwentek i absolwentów ze wszystkich dziewięciu wydziałów ASP w Warszawie.



Warszawa
Pałac Czapskich, Krakowskie Przedmieście 5
do 30 grudnia

• TEATR CAPITOL •

★ OLŚNIEWAJĄCY ★ SYLWESTER 2022/2023

Przywitaj Nowy Rok z Gwiazdami!



M AŁŻENSTWO
TO **M** ORDERSTWO



Kiedy kota nie ma...



IMPRO ATAK

Po wieczornych spektaklach
zaczarowana impreza do białego rana!

• KUP



• www.teatrcapitol.pl

Patroni Medialni

RMF
MAXX

tydzień

WIECZPOPOLITA

ams

onet

P

Kobiety

Familie.pl

STREFA
MUSIC

O bag

kicket

ARTYWA
WARSZAWA

WARSZAWA

Chiossoarte Corner

mza

teatr powszechny

Teatr, który się wtrąca



foto: Włodzisław Huczel

Kłątwa

reż. Oliver Frlić

obsada: Karolina Adamczyk,
Klara Bielawka, Jacek Beler /
Grzegorz Artman, Arkadiusz
Brykalski, Michał Czachor,
Maria Robaszkiewicz, Barbara
Wysocka, Julia Wyszńska

Spektakl łączy bezpretensjonalność
pieprznego kabaretu z precyzją baletowej
choreografii – „Kłątwa” to także wielka
zbiorowa rola gospodarzy sceny im. Hübnera,
popis aktorskiego zaangażowania
i samoświadomości. (...) to przedstawienie
wybitne, błyskotliwe oraz w najwłaściwszym
sensie tego słowa – rewolucyjne.

Witold Mrozek, „Gazeta Wyborcza”

27, 28, 29, 30 grudnia / 19.00

31 grudnia / 16.00 / spektakl sylwestrowy

Patroni
medialni

wyborcza.pl



Spektakl przeznaczony wyłącznie dla widzów od 18. roku życia. Zawiera sceny odnoszące się do zachowań seksualnych i przemocy, a także tematyki religijnej, które pomimo ich satyrycznego charakteru mogą być uznane za kontrowersyjne. Wszelkie sceny przedstawiane w spektaklu są odzwierciedleniem wyłącznie wizji artystycznej.